

PARADA



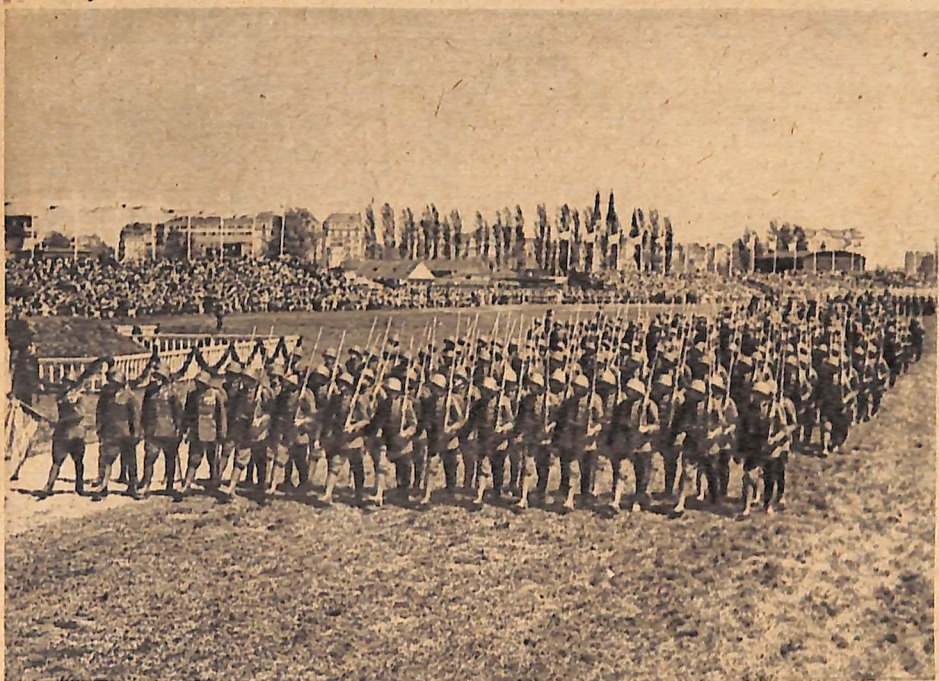
woię po
tory najpeńniej
w pogład był Józef Piłsud
ład i wiarę Piłsudski i je

NIEDZIELA, 3 WRZEŚNIA 1944 R.
SUNDAY, SEPTEMBER 3, 1944

Nr 18 (37)

Pałestynie 25 mĩls., w Iraku 30 fĩls., w Iranie 3,5 rls., w Anglii 6 d., w Afryce Wsch. 6 d., we Włozzech 12 łtrów

od Warszawy po Anconę



Defilada w Warszawie — jeszcze przed wojną

Żołnierze Brygady Karpackiej na pozycji pod Gazalą ↓



W 1940 r. dwie dywizje polskie walczyły we Francji. I też nie skapitulowały!

Bitwa pod Cassino była wielkim zwycięstwem 2. Korpusu Polskiego ↓



Z ziemi włoskiej do Polski — przez Cassino i Anconę ↓



Czołgi polskiej dywizji pancernej, walczącej dziś znowu we Francji ↓



Żołnierz nie pozwoli pomniejszyć Polski

1.IX.1939 — 1.IX.1944

Warszawa — lipiec 1794 rok. Kościuszko na czele 16 tysięcy regularnego wojska i batalionów złożonych z chłopów, robotników i mieszczan broni stolicy przeciw 41 tysięcznej armii rosyjskiej i pruskiej, przeciw 235 działom nieprzyjaciela. Pruski militarizm, reakcja — rosyjski obskurantyzm i zachłanność po jednej stronie — umiłowanie wolności i praw człowieka po drugiej.

Dymiły ulice Warszawy od wybuchających pocisków. Walił się gruz na głowy walczących. Kościuszko był wszędzie. Pojawiał się zawsze tam, gdzie konieczny był najwyższy wysiłek, by przetrwać. Europa milczała...

Warszawa — wrzesień 1939 rok. Przed mikrofonem radiostacji prezydent Starzyński. Mówi do robotników i mieszczan, do żołnierzy, cywilów i kobiet. Padają te same słowa, co w lipcu 1794 roku. Dymy unoszą się nad miastem, gruz i odłamki wał się na głowy walczących. Stolica broni się samotnie przeciw nawale wroga, broni się po kres ludzkich możliwości.

Warszawa — sierpień 1944 rok. Na grobach wrzesniowych powstają nowe barykady. Te same mundury, co we Wrześniu. Z Kwatery armii krajowej idą w świat komunikaty wojenne. Słowa Kościuszki i Starzyńskiego podjął generał Bór, karabiny podjęły inne ręce — ale rytm przemożny historii bije w stolicy ten sam.

Trzeba zdać sobie w pierwszym rzędzie jasno sprawę, że Polska jest ideową ciągłością, a problemat polskiego losu pojąć można tylko pasją i umiłowaniem. Nie brakowało u nas ludzi, którzy byli gotowi poświęcić wszystko, aby zdobyć, wszystko. Wszystko, to znaczy wolne, nie umniejszone i niepodległe państwo polskie.

U progu tego dziejowego szóstego roku wojny trzeba się nam mocno wczuć w ową ideową logikę polskości. Nie po raz pierwszy znajdujemy się na ostrym zakręcie Historii. Już nie jednym traktatem próbowano przypiecztować grób Rzeczypospolitej. W takich momentach nie bywało właściwie podziału na „orientacje polityczne”, istniał natomiast podział na charaktery. Ludzie słabi załamywali się, potęgą przeciwników przysławiali im obiektywną ocenę sił własnego narodu, a los Polski wydawał im się wypadkową polityki możnych tego świata. I dziś jest podobnie. Słabi sądzą, że los Polski będzie różnicą, jaka wypadnie z zawiątego rachunku wielkich mocarstw. Tymczasem historia przekazuje nam inny pogląd. W czasie tamtej wojny byli tacy, którzy budowali Polskę na „orientacjach”, widzieli ją jako wynik czyichś interesów i rozgrywek. Konceptje Polski w oparciu o Austrię, Rosję czy Niemcy odpadły i stało się jasnym, że Polska w pierwszym rzędzie liczyć musi na siebie samą. I to jest dziejową zasługą polskiego ruchu niepodległościowego, że w tym duchu kształtował przez lata pogląd narodu, jego wiarę i wolę polityczną. Człowiekiem, który najpełniej personifikował ów pogląd był Józef Piłsudski. Ów pogląd i wiarę Piłsudski i jego pokolenie

przejęło z lat 31-szych i 63-ich. Traktat Wiedeński był tym kamieniem, który po wszystkie czasy zdusić miał wolnościowe dążenia narodów Europy. Ale przecież mocni charakterem w narodzie postawili walkę ponad korzyści wynikające z współpracy z okupantem. I należy przypomnieć z naciskiem, że w 63 roku Polacy walczyli o całość ziem Rzeczypospolitej i niezależność państwową **nie uznając żadnych linii „demarkacyjnych” czy rozbiorowych.** Szli na Sybir — ich wnuki do Szczypiorni i Magdeburga tylko dlatego, że nie kapitulowali, wiedząc, że wolność jest niepodzielna.

Nie brakło nas w żadnym ruchu wolnościowym Europy. I nie jest prawdą, że trud i wysiłek tych ludzi szedł na marne. Niósł on w sobie ową ciągłość atmosfery, krzepła w nim ideologia polskości — stanowił on o tej wartości, którą zwiemy **poliskim stylem życia.**

Dziś u progu szóstego roku tej straszliwej wojny dobrze jest spojrzeć za siebie wstecz. Gdy wszystko się wali — gdy wojna ta, jak słusznie i tragicznie zarazem stwierdził premier Churchill — staje się coraz mniej ideologiczna, gdy kontynentowi zagraża chaos, jakiego może nie pamiętać dzieje — my Polacy tym jaśniej musimy zdawać sobie sprawę z polskich celów tej wojny i tym twardziej stać przy nich. Wojna ta nie jest jeszcze rozegrana. Mylą się ci, którzy sądzą, że upadek Niemiec będzie równoznaczny z wiecznym pokojem w Europie. Daleko bliższe prawdy wydają się słowa Lorda Dunglassa, wypowiedziane nie dawno w Izbie Gmin, że Europa po upadku Hitlera „będzie kotłem podejrzeń, wojen domowych i rewolucji”.

My nie czekamy na nowych proroków. Na kontynencie będziemy realizować te cele w imię których podjęliśmy przed pięć laty wojnę. Odrzuciliśmy żądania Niemiec, widząc w nich zamach na naszą niepodległość. W przeciwieństwie do innych — **tradycja polska nie zna pokoju za wszelką cenę.** Cena pokoju może być wysoka, ale przecież jest zawsze wymierna. Prawdę tę realizuje Kraj, który walczy przeciw okupantowi od pięciu lat i walczyć będzie przeciw każdemu okupantowi. Nie ma bowiem ceny na wolność.

Z nami związane są kraje Międzyczornia i kraje bałtyckie. Z Litwinami, Łotyszami, Estończykami łączą nas niedawne węzły z lat 1905-tych. Państwa te z nami powstają i z nami upadają.

Na starym kontynencie Europy jest nie do utrzymania jakichś nowe Święte Przymierze, linie wpływów, ujarzmienie tzw.: „małych narodów”. Dynamika instynktu wolności nie zestabnie. Pełna realizacja wolności i sprawiedliwości leży u podstaw wszelkiego postępu. Żadne imperializmy tej dynamice nie zdołały się na dłuższą metę oprzeć. Jest nie do pomysłenia, żeby narody europejskie przekreślić miały wieki swej historii, wyrzec się własnych zadań dziejowych i wejść

uległe w obcy schemat imperialistyczny. **Takiej „rewolucji” nie uda się nikomu przeprowadzić.**

Rozmaici „realiści” z obecnej ciężkiej sytuacji wysuwają jedyny wniosek, że Polska nie może ostać się sama, że może istnieć jedynie jako „przyczepka” do takiego czy innego mocarstwa. A przecież podjęliśmy tę wojnę, przecież walczyliśmy, w kraju i poza jego granicami, przez pięć lat tylko i wyłącznie dlatego, że odrzuciliśmy taką koncepcję, że nie chcieliśmy wejść w orbitę zaborczego imperializmu Trzeciej Rzeszy. **Analogiczne stanowisko zajmujemy wobec Rosji.** Pragniemy sąsiedzkich stosunków ze Związkiem Sowieckim, ale nie chcemy żadnej z Rosją unii, czy federacji. I tę rzecz należy **kategorycznie podkreślić.**

Obrona naszego prawa do suwerenności, niepodległego bytu państwowego nie jest „poetyckim romantyzmem”. Ten postulat, z którego nigdy nie zrezygnujemy, jest **czymś znacznie więcej, niż „Sprawą polską”.** Jest to problem międzynarodowy, który interesuje najżywościej wszystkie narody, znajdujące się w podobnej jak my sytuacji. I nie będzie frazesem stwierdzenie, że w tym dążeniu mamy za sobą sojuszników w zagrożonych tzw. małych narodach. Na Polskę zwrócone są dziś oczy tych wszystkich niemocarstwowych narodów, których los jest zagrożony imperializmem wielkich potęg kontynentu. Innymi słowy należy stwierdzić, że nasza Sprawa jest równocześnie sprawą około 90 milionów ludzi w Europie. Ta wspólność racji stanu i interesów w Środkowej-Wschodniej Europie obejmuje: Polskę, Rumunię, Węgry, Słowację, Czechy, kraje bałtyckie i Słowian południowych. Te narody mają z sobą wieki historii, stanowią integralną część składową wspólnoty europejskiej w sensie historycznym, kulturalnym i politycznym. Jest absurdem przypuszczać, że dadzą się one zdławić, zaanektować wymazać z karty kontynentu. To są narody rewolucyjne, które dławiono przez cały wiek XIX, to są narody, których dynamiczna woła wolności przyniosła w rezultacie obie wojny światowe. I obie wojny podejmowano w imię hasła, których realizacja przynieść miała tym narodom wolność i niepodległy byt. Zakończenie tej wojny jakimś nowym wydaniem „Świętego Przymierza” byłoby przegraniem pokoju, zawieszeniem broni i trzecia wojna światowa wybuchła by znacznie prędzej, niż skłonni jesteśmy sądzić.

Wojna trwa. Na progu jej 6-ego roku musimy sobie powiedzieć, że **nie ustępowaliśmy jednostronnie, nie słabością, ale przeciwnie determinacją i twardym obstawaniem przy naszych celach oddać możemy usługi naszej Sprawie.** Koniunktury wojny i polityki są zmienne. Dziś jest tak, a za kilka miesięcy mogą zająć miejsca, które wiele rzeczy, dziś pozornie niemożliwych, uczynią możliwymi. Wśród

tych zmienności układów i falowań, wśród bankructwa wielu kodeksów ideowych — **niezmienna pozostać musi nasza idea państwa, wytyczająca kierunek naszym walkom i dążeniom.** Nie walczyliśmy o niepodległość, by wrócić do domów i spocząć na laurach. W pierwszym rzędzie pragniemy odbudować niepodległe państwo polskie, bo wiemy, że ma ono swój sens europejski, ideę polityczną, której pełna realizacja dać może prawdziwy pokój i wolność krzywdzonym narodom Międzyczornia.

Bijemy się o wolność nie tylko naszą. Wierzymy, że przyjdzie moment, gdy po upadku Hitlera wystąpić będziemy mogli z inicjatywą polityczną w stosunku do narodów o wspólnej z nami racji stanu.

Nie mieszajmy pojęć oportunistów z realizmem. **Realizmem nie jest nigdy bierność, czepianie się kłamki możnych, tak jak nie jest „politycznym kompromisem” zrzekanie się prawa do życia.** Politycznie naród liczy się tak długo, jak długo jest nosicielem pewnej idei, za którą gotów jest walczyć.

Byłoby wielkim błędem sądzić, że jasne stawianie naszych celów i otwarte wypowiedanie uczciwych polskich poglądów może kogoś razić. Narody, które od wieków w wychowaniu obywatela kładą główny nacisk na charakter, jak czynią to Anglicy, cenią ludzi i narody tylko te, które mają mocny krzyż pacierzowy i siłę moralną. My dążymy do odbudowy prawdziwej równowagi na kontynencie i jesteśmy przeciwnikami hegemonii. W tym kardynalnym i wiecznie aktualnym punkcie istnieje i zawsze istnieje będzie zbieżność celów polityki polskiej i brytyjskiej.

W szósty rok tej krwawej wojny żołnierz polski okryty świeżą chwałą Cassina, Piedimonte i Ancony, **wchodzi z nieślabnącą wiarą w zwycięstwo i z niepomniejszonymi polskimi celami wojennymi.** Dla żołnierza polskiego nie może być innego Credo.

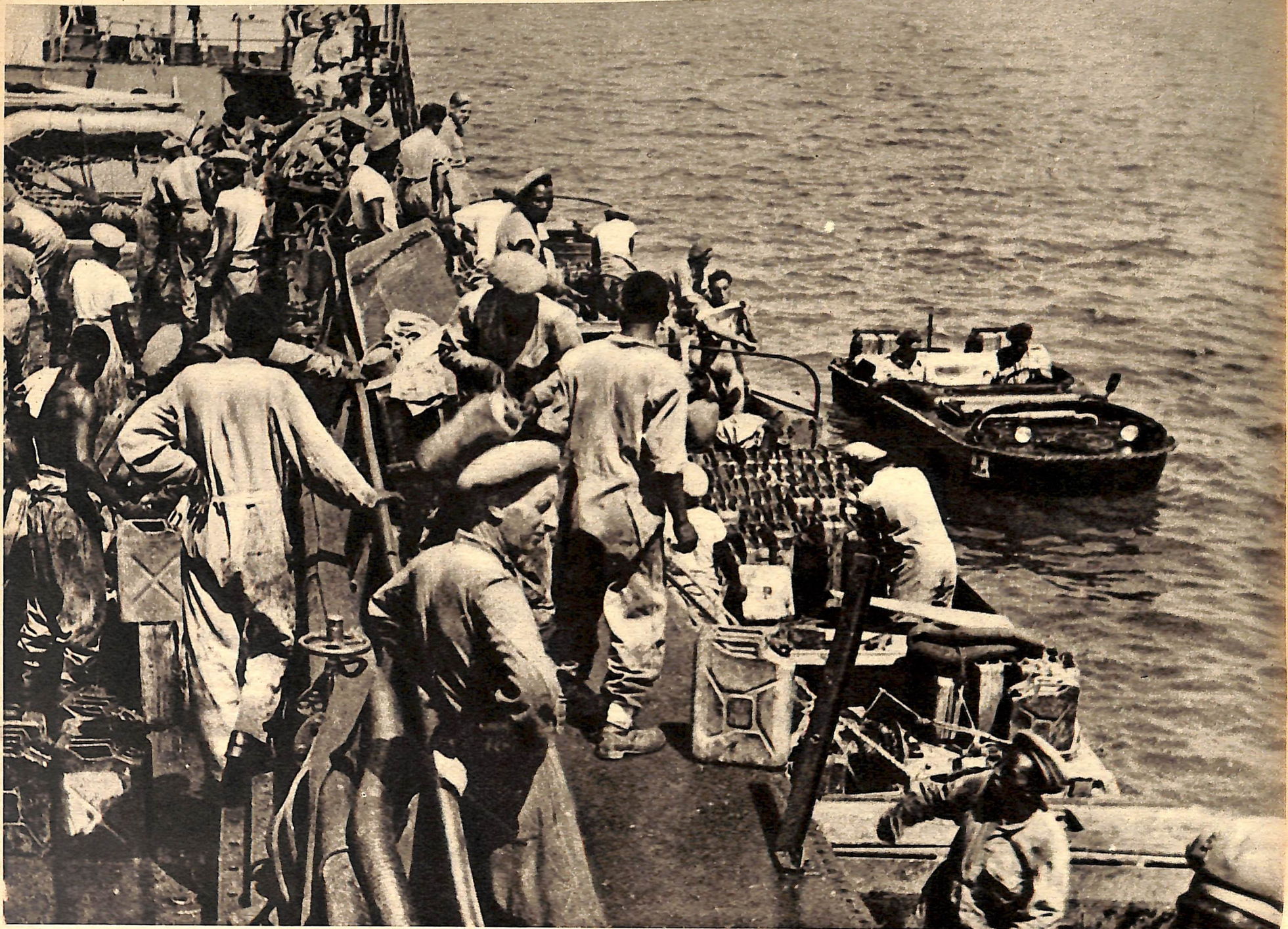
Juliusz Mieroszewski

NASZA OKŁADKA



Towarzysz pancerny

Fot.: T. Szumański



Zaopatrywanie polskiego korpusu na froncie nad Adriatykiem odbywa się z morza

W ODMĘCIE WALKI

Przy cekaemie w czasie natarcia Wilnian



Skwarne popołudnie, — krótki odpoczynek po trudach przeszło dwutygodniowych działaniach pościgowych. Carrierzy drzemią w kukurydzy, niektórzy żołnierze — także. Część wozów znajduje się w ruchu: zwozi rannych. Załogi wozów czasowo bezczynnych mają zarządzone pogotowie. Łada chwila mogą nas wezwać do akcji. Natarcie naszych oddziałów na miasto O. trwa. Artyleria kropi niezmordowanie; furczące przepiórki przelatują nam nad głowami. Huk rozlicznych detonacji przygłusza pobliskie ujadanie rozwścieczonej broni maszynowej. Na horyzoncie smużą się dymy.

Czekające załogi carrierów ulegają nastrojowi...strąży ogniowej. W każdej chwili należy spodziewać się alarmu. Wszyscy są spakowani, broń naładowana, silniki „na chodzie” — wystarczy jedno słowo. Właśnie radiota plutonu, pchor. Ch., z laringofonem na szyi, dźwiębi przy 38-ce, „a nuż coś rzekną z baonu”. Dowódca plutonu pod morwą studjuje mapę. Żołnierze mimo to okopują się, jest to podobno niezawodny symptom rychłej zmiany miejsca postoju... Niektórzy myją się, gołą lub piorą bieliznę w pobliskim potoku.

Przyjechał kpr. K. z pocztą i NAAFI. Przywiózł wiadomości o naszych rannych kolegach. Sam wrócił onegdaj ze szpitala i ma głowę obandażowaną. Ranny odłamkami pocisku szrapnelowego w policzek i oko, przebywał w szpitalu waledwie kilka dni. Wylizał się nadspodziewanie szybko. Odłamek wytaszczyli z oka elektromagnesem, pokierosowaną gębę zeszyli po krawiecku i — chłopcy wypisali ze szpitala na dalszą bojową kucrację. Teraz, korzystając ze zwolnienia, załatwia sprawy gospodarcze plutonu.

Wezwano dowódcę plutonu na odprawę. Chłopcy wiedzą co to znaczy. Nowa robota! Nie wypite piwo i „Greys’y” wędrują do skrzynek, mokrą bielizną spotyka ten sam los. Ostateczne pakowanie, przyoblekanie oporządzenia, pró-

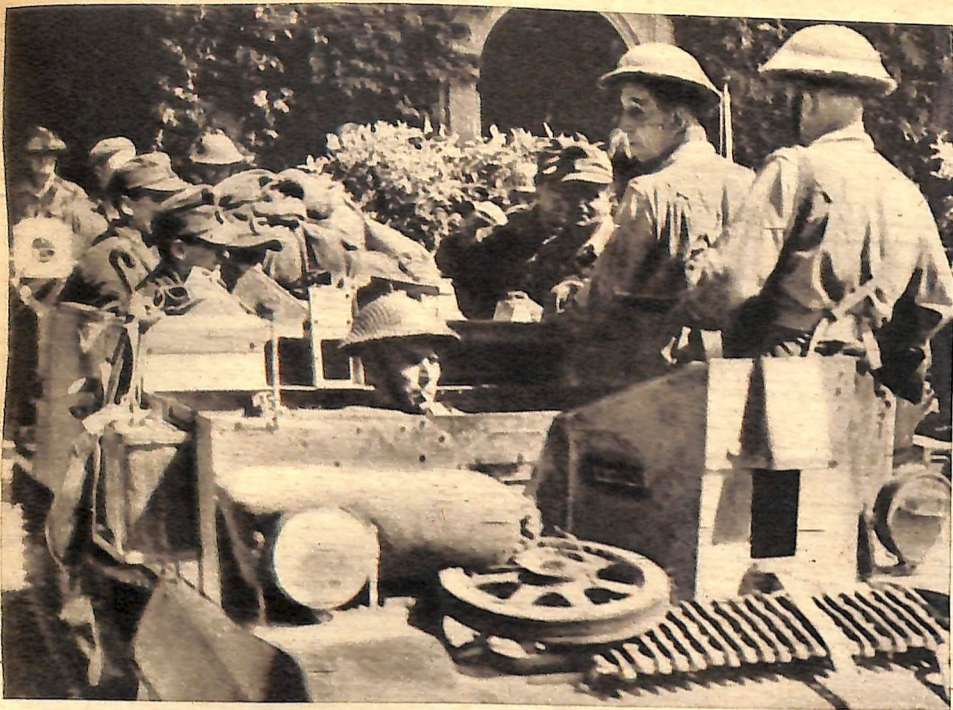
ba rozruszników. Ludzie i silniki gotowe, żadne nie powinno zawieść. Jakość dokonanych uprzednio robót daje tego rękojmię.

Otrzymane zadanie jest na pozór bardzo pociągające i łatwe: eskortowanie jeńców. Pesymiści (jest ich kilku w plutonie) twierdzą, że nasamprzód trzeba upolować, a potem eskortować... Dobrze, będziemy zatem polować, a ponieważ piechota przełamała opór nieprzyjaciela, nie powinno to być trudne. Jedziemy przecież sfinalizować dzisiejszy dzień pracy, przełamać resztki oporu — zawładnąć miastem, które krwawym wysiłkiem zdobyli poprzedzający nas piechurzy i nasi potężni krewniacy — czołgści.

Walimy polnymi drózkami do szosy. Na szosie, nierozpoznanej, trzymamy się śladów czołgów. Diabło niesympatyczna broń te miny! Prześladowe nas zawsze ich zmora. Trzytonowy carrier na przeciwpojazdowym paskudztwie może rozsypać się, zostawić po sobie przykre wspomnienie i trochę śwedu. Dlatego z zawiścią i respektem spoglądamy na masywne Shermany i Stuardy i w miarę możliwości trzymamy się ich zaplecza. Nie stęty, nader często marszruta carrierów prowadzi przez bezdroża lub po góścicach, po których nie pełzała jeszcze sojusznicza stalowa gąsienica.

Kilka mil szosą i — znów polnymi drogami, wreszcie — na przełaj, w stronę toczącej się walki. Coraz wyrziszsze są jej odgłosy. Rechot Spandau'ów i rodzimych Brenów, detonacja granatów, dwugłosa artylerii: odpalań i eksplozji — zbliżają się do nas z szybkością pędu naszych pokracznych pudek. Już widać żołnierzy naszych biegnących w tyralierze. Spośród gęstwiny krzewów i zbóż wzbijają się chmurki białego dymu, nad głowami gwiżdże stalowy grad.

— Ukryć woz! Do walki pieszej! Zostają przy wozach tylko kierowcy. Reszta w szyku bojowym przedziera się przez kolące krzewy, depce łodygi okwi-



Wczoraj jeszcze jeździli wozami zaprzęgniętymi w woły — dziś Wilnianie odwożą ich do niewoli carrierami

tającej kukurydzy. Pod drzewami, w rowkach naprędcie wykopanych, w lejach od pocisków — stanowiska naszych piechurów. Z działań wynika, że natężenie bojowych płasów z lekka słabnie. Niemcy wycofują się. Są wiadomości o wzięciu pokaźnej ilości jeńców. Mimo to nieprzyjaciel odgryza się jak zraniony dzik. Sypie dalekonośnymi podarkami, kruszącymi i zapalającymi. Można oberwać, co się zowie.

W rowie, za pionową skarpą znajdujemy pięciu Niemców — jeńców. Siedzą w otoczeniu naszych konwojentów, którzy czekają, aż ranny Niemiec opatrzy sobie nogę. Schwytani są wyraźnie zadowoleni z nowego stanu rzeczy. Jest wśród nich Ślązak, mówiący po polsku. Ten nastroja swych byłych kompanów pogodnie.

— Der Krieg ist zu Ende! — mówię do jeńców.

— Gott sei dank! — odpowiadają zgodnie.

Jeden z naszych odprowadza jeńców do wozów. Podążamy dalej. Nieopodal, na rozległym rżysku, obserwujemy groteskową scenę: młody żołnierz niemiecki ucieka, biegnie od jednej kopy pszenicy do drugiej. Rzucił karabin, oporządzenie i goni ostatkiem siły. Nasi pędzą za nim; nie strzelają, nie chcą zabijać bezbronnego, zresztą są pewni, że nie zdoła uciec. Jak zajączek, przerażony nagonką, czmycha krótkimi skokami. Niektórzy, ubawieni, pohukują za nim. Wreszcie zbieg staje zziębnięty, podnosi ręce do góry.

Otoczamy go kołem. Jest to młody chłopczek o gładkiej, dziewczęcej twarzy i blond czuprynie, krótkowidz, z wypukłymi szkłami na oczach. Drży ze strachu, trzęsą mu się ręce, szczękają zęby. Obłądny strach wykrzywia mu rysy, rozszerza matowe oczy. Nie wiem dlaczego, ale wyraz tej twarzy przywiódł mi na pamięć wspaniałą i straszną zarazem scenę makabrycznej beznadziejności, zaklętą w mistrzowskim obrazie M. Klingera: „Topielec”.

Uspokaja się zwolna. Wizja zaktucia, rozdziawiania, jaką roztoczyła przed nim niemiecka propaganda, rozplywa się. Powoli, a zaczyna się uśmiechać blade, a nawet mówić. Nazywa się Alfred G., jest synem adwokata z małego mia-

sta bawarskiego. Za trzy miesiące kończy lat osiemnaście, od pięciu miesięcy służy w wojsku. Tak, w dniu wybuchu wojny miał lat trzynaście.

Dokonywujemy rewizji pobliskich zagród. Wszystko wskazuje, że stąd dopiero co uciekli Niemcy, uciekli — w pośpiechu. W chatkach ani jednego cywila, za to pełno porzuconej broni i oporządzenia. Karabiny oparte o parkan, moździerz na stanowisku z kupą amunicji, przeciwzołgowy karabin (rodzaj angielskiego PIAT'a) z ładunkiem, stopy chlebaków, ładownic. Niemców — ani śladu. Pakujemy się do jednej z chat — zamknięta. Seria z Thompsona w zamek i silne kopnięcie. Za wylatującymi drzwiami — dwu szwabów, bladych, z podniesionymi rękami. Oddają się do niewoli bez oporu, a może nawet... z zadowoleniem. Odprowadzamy ich do carrierów.

Szosa maszeruje oddział jeńców, maszerują czwórkami w orydku wojskowym. Jest Niemców kilkudziesięciu, różnego stopnia i wieku — zdobył 2. kompanii N-go baonu. Trzech żołnierzy z Thompsonami prowadzi ich do tyłu.

Ruszamy na carrierach do miasta. Wyprowadzamy czołgi i piechotę. Witają nas dym i rozwalone chaty peryferii. W rowach przydrożnych i wprost na szosie leżą trupy Niemców, tych, których sięgnął ogień naszej artylerii. Kilku odważniejszych Włochów przebiega przez ulicę, ogląda zwłoki. Dobiegają nas odgłosy trwającej jeszcze walki. Na skrzydłach, szczególnie na prawym, grają Spandau'y, bije artyleria.

Zmierzch. Chowamy wozy za zastaną domów. Zaciągamy placówki. Wchodzę ze strz. Cz. do narożnego domku, skąd rozległy widok roztacza się na okolicę. Dom rozbity pociskami, w środku — porozrzucone, przysypane tynkiem i gruzami sprzęty. Na dziedzińcu — czterech zabitych Włochów i jedna...krowa. Z sąsiedniego domu wyziera ją ciekawe, przerażone twarze. Jakaś starsza kobieta zanosi się płaczem. W dom, w którym mieszkała, rąbnął pocisk. Dwóch synów zabiło, jednego ciężko raniło. A no — guerra!

Wiązki świetlnych pocisków smagają chatki w rozległym jarze — miejsce oporu Niemców. Widać nawet uciekają-



Nie łatwa jest droga powrotna Wilnian

cych żołnierzy. Nie strzelamy nie chcąc zdradzić stanowisk. Niech nasze kaemy same się z nimi rozprawiają!

Huk i straszliwy ślup dymu uderzają w niebiosa: Niemcy wysadzili most na małej rzeczulce. Dym łączy się z mrokiem wypływającym zza załomów horyzontu. Noc ciemną chmurą ogarnia niedawne pole walki, ułatwia ucieczkę, utrudnia pościg — hamuje zapędy. Należy ubezpieczyć się, czekać dnia.

Czekamy na stanowiskach. Jest jasna noc księżycowa. Pełnia. Dodają jasności płonące od zapalających pocisków stogi siana czy słomy. Miasto śpi w ciemności i lęku. Porykuje żałośnie wygłodniałe bydło. My, zmęczeni, wyczerpani bezlikiem nieprzespanych nocy, prostujemy członki na wilgotnej ziemi przeciwołamkowych rowów. Cięża głowy, lepią się powieki, a mimo to nikt nie śpi, nawet ci, którzy nie mają służby.

Niemiecka dalekonośna artyleria zaczyna prażyć zaciekle. Padają z furją, z piekielnym chichotem pociski, tuż koło nas. Drży ziemia, tysięcznym echem rozdrabniają się detonacje. Słychać krzyki i głośnie nawoływania. Czyżby ktoś ranny! Niepokój dręczy każdego z nas, niepokój, który każdy stara się zataić.

Po jakiejś pół godzinie nadbiega strz. Cz. ze smutną wiadomością. Dwa pocis-

ki rąbnęły w pośrodek polany, na której były ukryte carryery. Jest jeden zabity, czterech rannych, z tych dwóch — ciężko. Zabity jest strzelec Nawrocki — młody, sympatyczny chłopczek. Tegoż samego wieczoru wrócił ze szpitala, gdyż uprzednio był ranny w rękę. Otrzymał 18 dni dla rekonwalescencji. Nie chciał korzystać ze zwolnienia, spieszył do plutonu. Radzono mu wrócić do eszelonu „B”, nie zgodził się: „Zostanę z wami!” został — zaledwie na kilka minut. Odłamek rozplątał mu głowę. Ojciec jego zginął w Katyniu, dwie siostry zmarły w Rosji, matka wyjechała do Tanganiki. On sam...

Nalot nieprzyjacielskiej eskadry bombardowców. Złowrogi warkot maszyn, eksplozje bomb i długie serie karabinów maszynowych. Odezwały się nasze działka plot. Światne smugi, gonące ze wszech stron za samolotami, przepięknie iluminują niebo. Groza i piękno często chodzą w parze w wojennych spektaklach.

Zaczajeni na stanowiskach, ze skupioną wolą i napiętymi nerwami, wpatrujemy się usilnie zmęczonymi oczyma w ciemną, piękną, lipcową noc, jasną, parną, — nocy tajemnic, niebezpieczeństw i emocji pełnej.

J. K.

Kantyniarki na pierwszej linii



Ciężkie karabiny maszynowe Kresowej



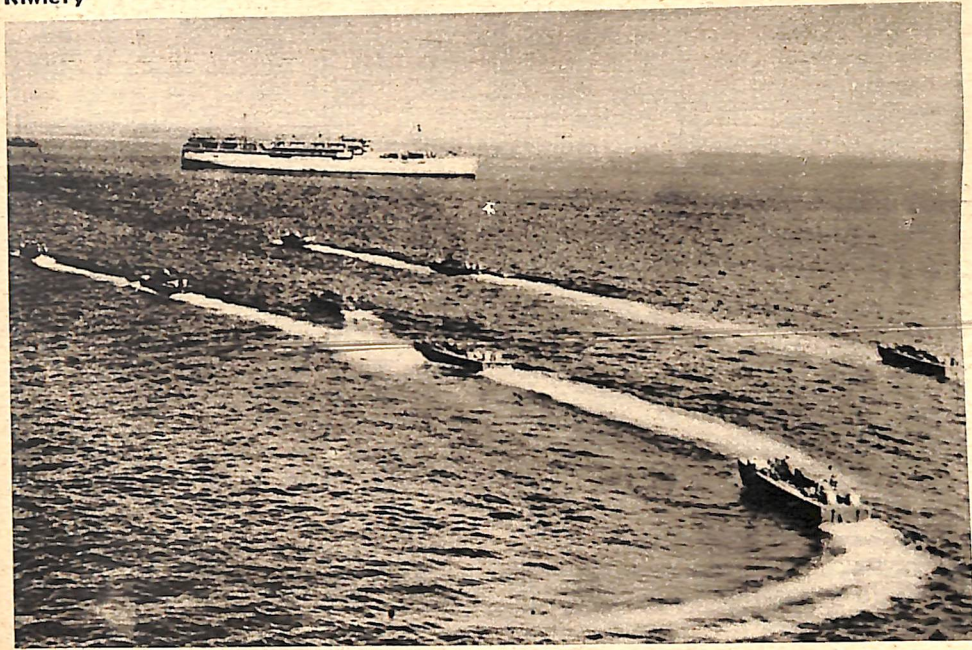


Samochody... samochody... Sprzęt zmasowany „gdzieś we Włoszech” — w przeddzień inwazji na południową Francję

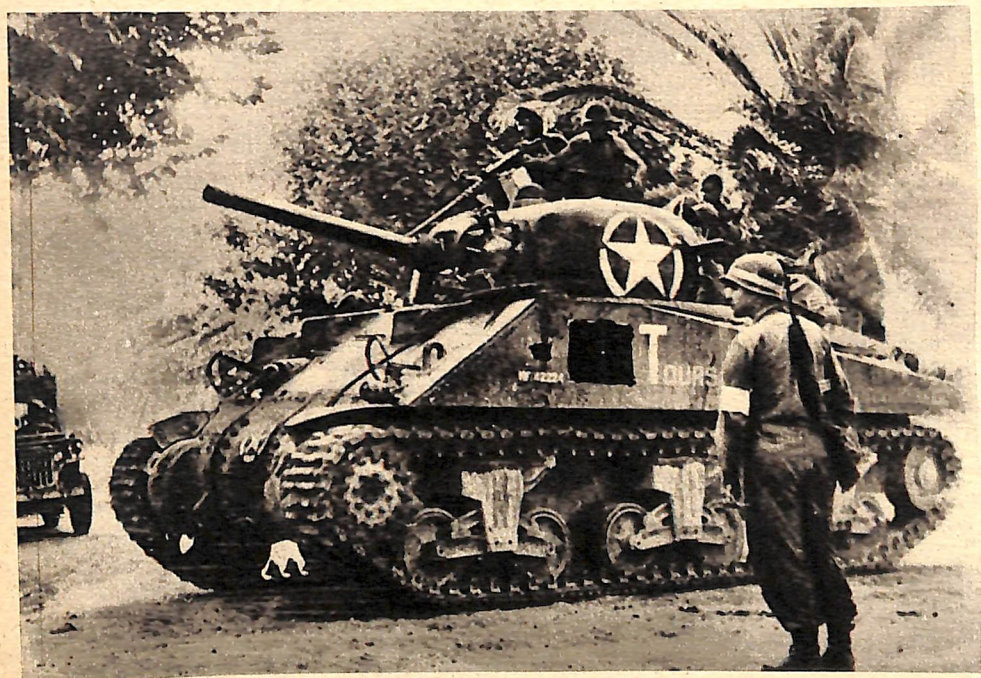
BITWA O FRANCJĘ przypieczętuje klęskę Niemiec

Artykuł napisany specjalnie dla „Parady” przez U. S. Office of War Information

Specjalne barki inwazyjne załadowane wojskiem zbliżają się ku brzegom francuskiej Riwier



Francuskie oddziały pancerne mijają St. Maxime



Sytuacja wielkich południowych portów francuskich Marsylii i Tulu jest dziś identyczna z sytuacją bretońskich portów Brest, Lorient i St. Nazaire. W obu wypadkach niemieckie garnizony odcięte są całkowicie — na lądzie i od strony morza. Nie mogą one oczekiwać innego losu, jak tylko tej katastrofy, która

Amerikanów witają na Riwierze przyjazne spojrzenia dzieci



spotkała Niemców w Cherbourgu i w St. Malo.

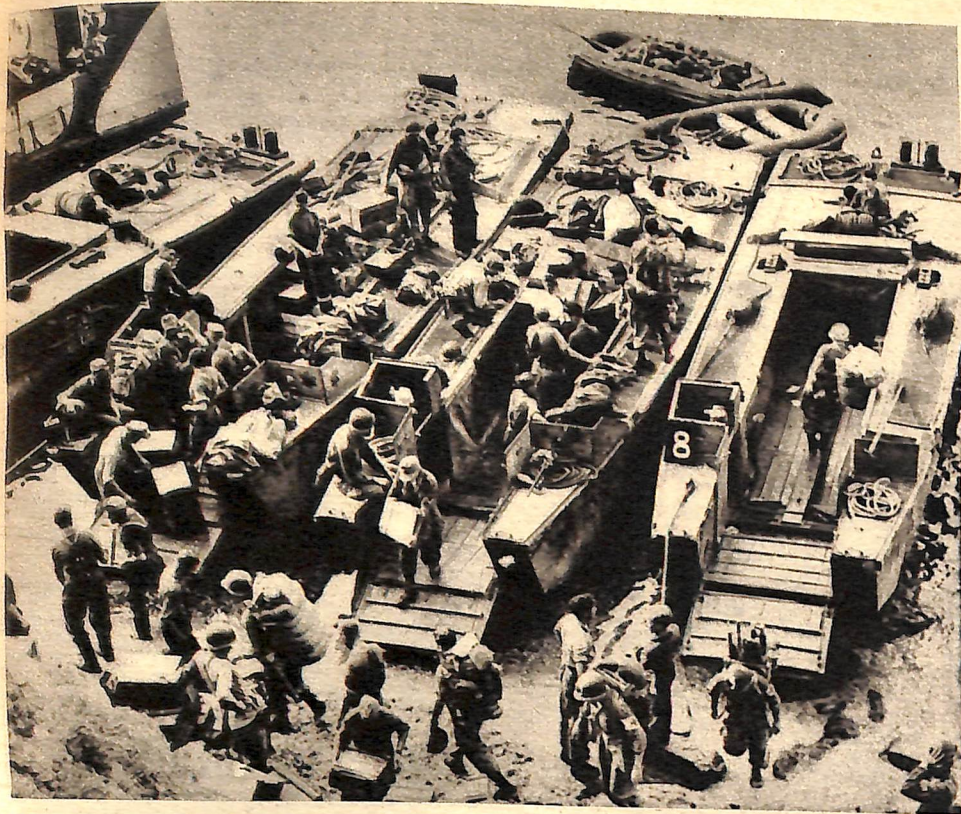
Oswobodzenie Marsylii, drugiego miasta Francji i największego jej portu jest kwestią najbliższych dni. Upadku Tulu największego wojennego portu francuskiego — oczekiwać należy nawet jeszcze wcześniej. Oddziały francuskie dowodzone przez gen. Destassigny w dniu 22 sierpnia zamknęły całkowicie pierścień, otaczający Tulu. W chwili, gdy piszemy te słowa, walki trwają na północnych przedmieściach tego portu.

Niemcy wycofują się wszędzie z wyjątkiem izolowanych punktów na wybrzeżach, z nich bowiem nie ma już możliwości ucieczki. Wszystkie są odcięte i bombardowane dniem i nocą. W Tulu nie są zablokowane trzy dywizje niemieckie oraz pewne jednostki niemieckiej marynarki wojennej. Śmierć lub niewola — oto dwie alternatywy ostateczne wszystkich zablokowanych garnizonów niemieckich w portach i miastach przybrzeżnych.

Amerycanie zajęli Aix-en-Provence największy na południu węzeł komunikacyjny, z którego rozchodzą się drogi na północ od Marsylii. Miejscowość ta odległa jest zaledwie o 15 mil od Marsylii. Ponad 2000 mil kwadratowych południowego wybrzeża Francji znajduje się w chwili obecnej pod kontrolą Sprzymierzonych.

Gen. Patch w rozkazie dziennym oświadczył, że we Francji osiągnięto podstawę wyjściową do ostatecznego ciosu, który przyniesie decydujące zwycięstwo. W tymże rozkazie gen. Patch nakazał marsz naprzód bez względu na zmęczenie. „Blitz” amerykańskich oddziałów pancernych zdystansował już znacznie najefektowniejsze rajdy niemieckich czołgów z przed trzech lat.

Szef amerykańskiej zamorskiej służby informacyjnej Robert Sherwood oświadczył dziś w Londynie, że bitwa o Francję, która zaczyna zbliżać się do swego punktu kulminacyjnego — jest nie tylko jedną z najbardziej decydujących bitew w tej wojnie, lecz również jest ona jedną z najdonioślejszych operacji wojskowych w historii wojen. Gdy bitwa ta rozpoczęła się w dniu 6 czerwca pierwszymi lądowaniami w Normandii — niemieckie siły zbrojne we Francji liczyły ponad 1.000.000 żołnierzy. Dziś można stwierdzić z całą pewnością — oświadczył Robert Sherwood, — że tylko zni-



Niemiecy jeńcy wyładowują statki inwazyjne w okolicach Tulu



Piechota amerykańska ląduje na Riwierze. W głębi barki inwazyjne t. zw.: LCI

komy procent z tej wielkiej i potężnej armii zdoła zbiec w granice Rzeszy. Francja staje się jednym z największych na świecie cmentarzyśk niemieckich. Jedna z najwspanialszych armij niemieckich, siódma armia, została zdziatkowana i zdeorganizowana w bitwach w Normandii i Bretanii. Resztki tej armij szuka ją ocalenia na ucieczce poprzez Sekwanę, która jak żadna inna rzeka w Europie spłynęła niemiecką krwią.

Lądowania wzdłuż Riwiery francuskiej były jedną z najpiękniejszych amfibialnych operacyj tej wojny. W przeciągu 6 dni osiągnięto wszystkie ważniejsze obiekty.

Rzeczoznawcy wojskowi są zdania, że jedną z przyczyn gwałtownego odwrotu Niemców na wszystkich frontach Francji jest fakt, że odciągnięto w ostatnim czasie znaczne rezerwy SS i agentów Gestapo. Zarówno SS jak i Gestapo są potrzebne w Rzeszy do „usztyniania” tzw. frontu domowego.

Olbrzymią rolę w operacjach we Francji odgrywają Maquis. Amerykański korespondent wojenny J. Dynan ujawnił w swej depeszy, że od roku istnieje regularna komunikacja lotnicza pomiędzy kwatarami oddziałów Maquis a Dowództwem Sprzymierzonych. Oficerowie francuscy byli regularnie zrzucani ze spadochronami i obejmowali dowództwa poszczególnych oddziałów. Tą drogą otrzymywali patrioci francuscy broń i amunicję, a w ostatnich tygodniach, poprzedzających inwazję, zrzucano im również i ciężki sprzęt bojowy oraz bardzo znaczne ilości ręcznych karabinów maszynowych, granatów itd. Patrioci francuscy dysponowali od dawna dostateczną ilością lotnisk tak, że lądowania odbywały się regularnie i bez przeszkód. Z drugiej strony Maquis uzupełniali cennymi i szczegółowymi informacjami wywiad Sprzymierzonych, co posiadało wielkie znaczenie przy opracowywaniu szczegółowych planów inwazji.

Niedaleka jest chwila połączenia się armij Sprzymierzonych, które lądowały we Francji południowej z armiami idącymi naprzód z Normandii i Bretanii. Podczas gdy armie Sprzymierzonych nie ustają ani na chwilę w parciu naprzód, nie dając Niemcom żadnej okazji do przegrupowania swych zdemoralizowanych sił — siły francuskie oczyszczają miasta i likwidują izolowane punkty oporu. Paryż został oswobodzony po czterech dniach uporczywych walk. W tym samym czasie Niemcy bombardowani są dniem i nocą wzdłuż Sekwany, przez którą wiedzie jedyna dla nich droga ocalenia i ucieczki. Niesłychana przewaga lotnictwa Sprzymierzonych pozwoliła na wykonanie tego największego w historii wojen „Blitzu”.



Tulon — największa francuska baza marynarki wojennej



Francuskie siostry Czerwonego Krzyża

Spadochroniarze lądują między Niceą a Marsylią w dniu Inwazji na Francję południową



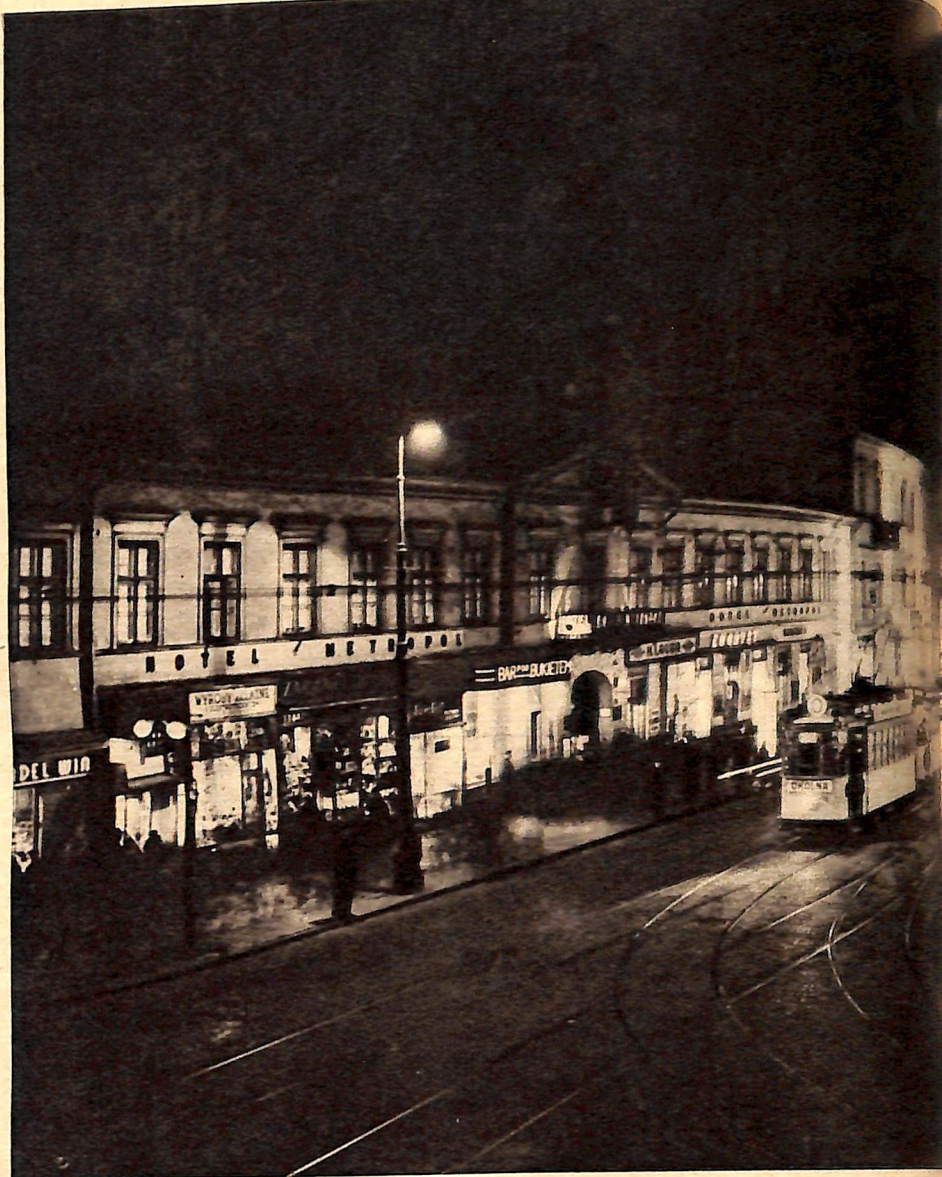
PIEŚŃ O STEFANIE STARZYŃSKIM

1.IX.1939

PI

Jakże Ciebie, Warszawo, osiągnąć przez pieśnię,
 Ażeby Twoich murów nie dotknąć boleśnie,
 Gdy każda droga nazwa jest teraz jak rana?
 Oto dach potrzaskany od Świętego Jana
 I w gruzach mury Zamku i stropy posadne,
 A Zygmunt trzyma w ręku miecz i krzyż bezwładne.
 Ale ja Cię nie widzę okrytą żałobą
 I nie płaczę nad Tobą, nie płaczę nad sobą,
 Ani nad zostałymi w niewoli bliskimi,
 I za każde bogactwa i rozkosze ziemi,
 Za spełnione marzenia i pałace w chmurach,
 Nie dałbym tego szczęścia, żem mieszkał w Twych murach.

Złota jesień po parkach liście z drzew już łuska,
 I śmiesznie zapłonęły latarnie gazowe.
 Czy widzisz szare domy? Słyszysz? Wisła pluska,
 A zimny wiatr jesienny owiewa ci głowę.
 Ach! Przytul ją do szarych twego miasta murów
 Jak do piersi matczynej, co tuli twe łkanie,
 I wsłuchaj się w dalekie potężne wezwanie,
 Piękniejsze i prawdziwsze od klasycznych chórów!
 Oto pieśń zmartwychwstała. Liście już opadły,
 Kamienne bóstwa skrzydła po sobie pokładły,
 I łuna od pożaru ogromnego błyska.
 Tylko tych, którzy teraz martwe czoła chylą,
 Żywych, tobie podobnych, widziałeś przed chwilą
 I wszystkie w tej legendzie — znajome nazwiska.
 Czy widziałeś Ordoną? O mój przyszły wieszczul
 Będiesz-że ciągle śpiewał o koniach i zbroi?
 Kto jest ten mały człowiek co w ognistym deszczu
 Śród murów, co się wałą, jako posąg stoi?
 O to imię Tragicznej zapytaj się Muzy!
 To on te domy wznosił, co padają w gruzy,
 Posągi roztrzaskane i — któżby je zliczył —
 Te ulice w płomieniach, to on je wytyczył.
 I on, gdy miasto było pochodnią czerwoną,
 Powiedział: „Nie ustąpię. Niech te domy płoną,
 Niech dumne moje dzieła na proch się rozpadną!
 I cóż, że z marzeń moich wszystkich rośnie cmentarz?
 Ale ty, co tu przyjdiesz teraz, zapamiętasz,
 Że jest coś piękniejszego niżli murów piękno”.
 A ty co? Myślisz pewno, że to dziejów krater
 Wciąż tę samą wyrzuca romantyczną lawę
 I że to jeszcze jeden szalony bohater
 Nieopatrzna, ułańską opętał Warszawę,
 I tobie jeszcze ciągle marzy się o cudzie
 I o owych nadludziach, co się biją chrobrze.
 Cudów chcesz? Pomyśl tylko, że są zwykli ludzie
 Jak on, co zawsze wszystko chcą wypełnić dobrze.
 Cicho, pieśnił Bo Bracia nasi w grobach leżą.
 Powrócisz, ach! powrócisz, gdy w bębny uderzą
 I wojsk naszych znów kroki postyszysz miarowel
 Na mury potrzaskane, na ulice wolne
 Jako liście wawrzynu rzucisz kwiały polne
 I tych, co tam zostali, obejmiesz za głowę.

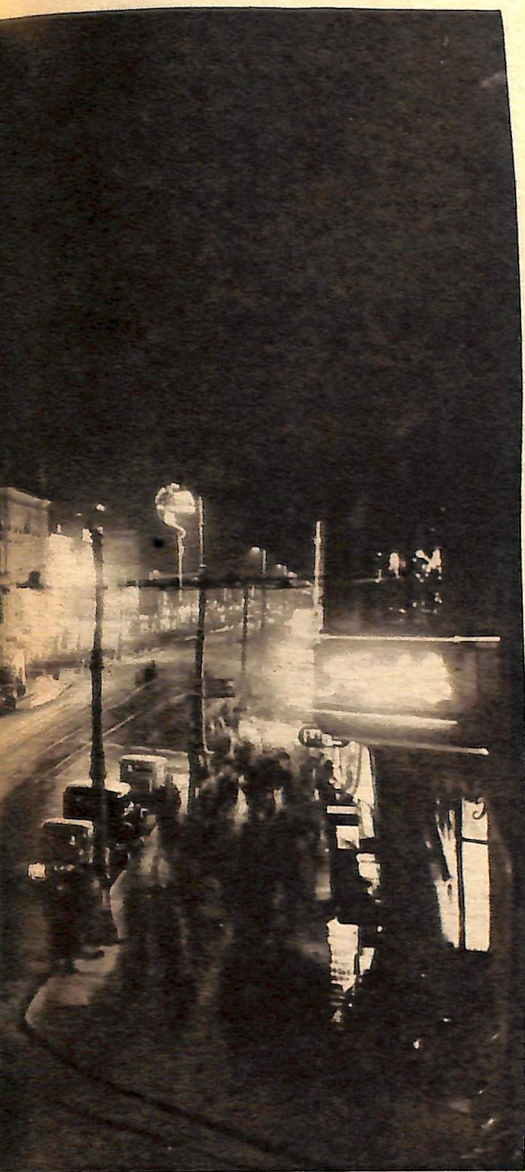


Ulica Marszałkowska ↑

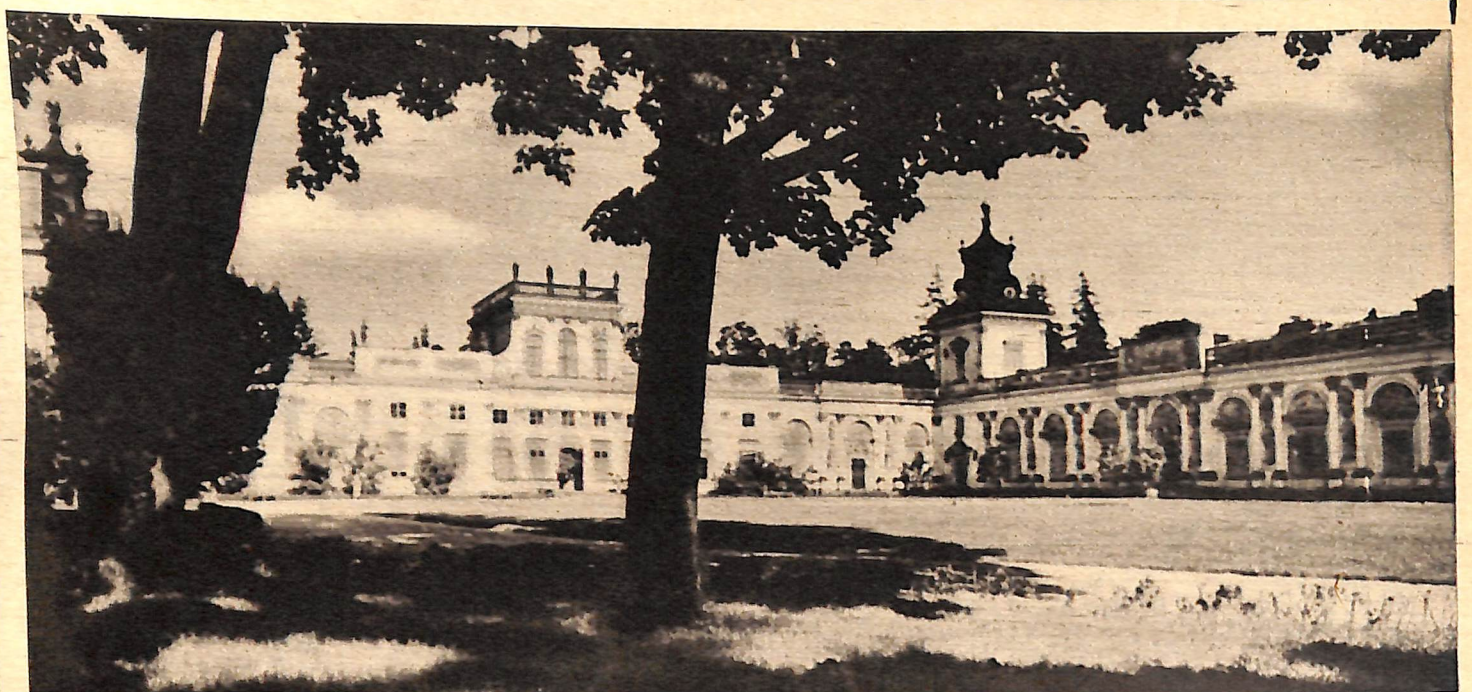
Ogród Saski ↓

Plac Krasieński — pomnik Kilińskiego





Kościół Św. Krzyża →



Pałac w Wilanowie



KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

ZSTĄP, DUCHU MOCY

ZSTĄP, DUCHU MOCY,
WZMÓŻ NASZE SIŁY
NAD ROZUM, NAD UCZUCIE,
PONAD KOBIECY I MĘSKI PŁACZ,
WZMÓŻ NASZE SIŁY
NAD BRATNIE MOGIŁY,
NAD ROZPACZ SIEROT I WDÓW,
NAD WYGRYZIONE GAZEM RANY,
NAD NIEPOKÓJ NAGŁYCH NALOTÓW,
NAD LĘK, GDY KTOŚ DO ŚMIERCI NIE GOTÓW
I JESZCZE PRAGNIE UST UKOCHANYCH —
PATRZ:
NADLUDZKIEJ PODDANI PRÓBIE,
TYLEKROĆ ZAPRAWIENI W CIERPIENIU,
STAWIMY CZOŁO IDĄCEJ ZGUBIE,
WALCZYMY O SIEBIE I ŚWIAT.

WZMÓŻ NASZE SIŁY
NAD WSZELKIE MĘCZEŃSTWO,
PONAD ZNUŻENIE
I OKRUCIEŃSTWO
I CAŁĄ LITANIĘ TRUDÓW,
DAJ NAM ŚCIŚNIĘTE SZCZĘKI,
KAMIENNĄ WYTRWAŁOŚĆ:
NIE WYPUŚCIMY Z RĘKI
SZTANDARU LUDÓW.

WZMÓŻ NAS DO KOŃCA.
TĘ WOJNĘ WYGRAĆ MUSIMY
TEJ JESIENI, TEJ ZIMY
ALBO ZA WIELE LAT,
WZMÓŻ NAS NAD ŚMIERĆ I ŻYCIE,
MUSIMY BIĆ SIĘ,
MUSIMY BIĆ SIĘ,
DO OSTATNIEGO DNIA
I DO OSTATNIEJ NOCY,
NAD ROZUM, NAD UCZUCIE,
NAD WSZYSTKIE MOGIŁY.

ZSTĄP, DUCHU MOCY,
WZMÓŻ NASZE SIŁY.

WARSZAWA, DNIA 5 WRZEŚNIA 1939 ROKU



KWATERMISTRZE

Istnieje temat nader delikatnie a skwapliwie omijany przez rasowych korespondentów wojennych. Niby coś tam wspominają, wzmiankują, że jest, że owszem, to bardzo ważne, że bez tego nic by się nie udało, lecz wszystko to czyni się mimochodem, zdaleka.

Doczekali się eposów zasłużonych piechociarzy, artylerzyści, saperzy, łącznościowcy, nie mówiąc już o pancerniakach i ułanach wszelkiego autoramentu. Pisali nawet o sanitariacie i kierowcach, tylko o kwatermistrzach i ich wojsku dziwnie cicho. Mam wrażenie, że większość tych dzielnych ludzi jest stanowczo przekonana, że kwatermistrz to taki specjalista od wyszukiwania kwater i dlatego jego praca jest niegodna szerszego zainteresowania. Żeby wyzwoić się spod działania magii słowa, chciałbym odwołać się do uwagi tych wszystkich żołnierzy, którzy mają na grzbiecie przywoity, pomimo długotrwałej akcji, mundur, w rękę karabin, a do tego karabinu amunicję — którzy jedli we właściwym czasie kolację i mieli na czas naprawione i w oznaczonym miejscu podstawione samochody, żeby przyjęli raz na zawsze do wiadomości, że ten cały cykl drobnych, codziennych i niedostrzeżonych czynności — to właśnie zasługa kwatermistrzów i ich mrowczo pracowitego wojska.

„Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie jako smakujesz, aż się zepsujesz”. Strofa, którą służby kwatermistrzowskie powinny wypisać we wszystkich swych kancelariach, magazynach i wozach.

Normalnie kwatermistrz jest szczęśliwy, gdy o nim jest cicho. Bo, gdy cicho, to znaczy wszystko gra. Głośno robi się nie po to, aby stwierdzić, że pokonano wszystkie trudności, lecz po to, aby kląć na czym świat stoi, że Naafi spóźnione, woda nawaliła, poczta nie doręczona. Ale dlaczego beczkowóz nie przyjechał na czas, lub amunicja dostarczona w ilości niedostatecznej, nad tym mało kto chce się zastanowić. Łatwo jest krytykować, jeszcze łatwiej nawymyślać, ale zrozumieć trudno...

Dla wyrazistszej ilustracji pracy organów kwatermistrzowskich sięgnę do niedawno chlubnie zakończonej kampanii o Monte Cassino. Tajemnica wojskowa nie broni już wyznania, że kwatermistrz Dywizji pospołu z kwatermistrzami Brygad siedzieli na pewnym, łagodnie nachylnym ku wraźemu klasztorowi, wzgórz, pięknie okolonym wianuszkami baterii naszych połówek. Wystarczyło nos wyszcibić z dziury, szumnie zwanej schro-

nem, aby pierwszy lepszy „Kultträger”, siedzący na górze klasztornej lub którejś z jej przyległości, rzucił „zły urok”. Od owej dziury do m.p. plutonu łążików transportowych było nie więcej niż 50 kroków, do eszelonów „A” jednego z batalionów kroków 20, do wysuniętego składu amunicyjnego, żywnościowego i benzynowego jakie pół kilometra, tyleż do kompanii mułów. Siedział więc kwatermistrz Dywizji w samym środku swych włości, o dobrych parę kilometrów wysunięty przed resztą sztabu dywizyjnego i rządził rozlicznymi domenami monotonnego dnia żołnierskiego. A rządy te bynajmniej łatwe nie były. Sprzyśnięty się nań wszystkie złe moce — ziemskie i ludzkie. Teraz wiadomo, że całe zaopatrzenie przychodziło w wystarczającej ilości i na czas do pierwszych linii strzeleckich i stanowisk ogniowych. Wiadomo, że dochodziło tam dzięki krwawemu trudowi kierowcy, nosiciela i mułowodnego. Niedoceniona jest jednak praca i wysiłek sztabów kwatermistrzowskich. Czy zastanowił się kto, jak trudne było choćby rozplanowanie ruchów, na znanych wszystkim, wąskich, karkołomnych drożynach o minimalnej przelotności. A przecież tym urwistym, w skale wyrąbanym traktem Cavendich trzeba było pchnąć zaopatrzenie dla paru tysięcy ludzi, amunicję, wodę, ewakuować rannych, przewidzieć ruchy powrotne, zarezerwować wolny przejazd dla wyższych dowódców i oficerów łącznikowych z niecierpiącymi zwłoki rozkazami operacyjnymi, przepuścić dźwigi ratownicze i Bóg jeden wie co jeszcze.

Każdy kierowca i mułowodny wie, że zandarm z RR na skrzyżowaniu S. Michele to był raczej zawiadowca węzłowej stacji, puszczający ściśle według rozkładu jazdy pociągi łążików, mułów i czołgów. Tylko mu było dać do ręki chorągiewki czerwoną i zieloną i trąbkę do drugiej.

A sam podział mułów i łążików na bataliony i pułki. Ten potrzebuje, tamten jeszcze bardziej. Pogodzić trzeba wszystko, bo na górze musi być i amunicja i woda i żywność. I byłal Czy pomyślał kto, jaki to był problem do rozwiązania, wyniesienie do góry ogromnych ilości amunicji moździerzowej i innej. Pokrywał się krwawym potem nosiciel, ale i nie mało napracowali się oficerowie z kwatermistrzostw, zanim opracowali rozkaz, przydzielający amunicję do poszczególnych oddziałów tak, aby każdemu starczyło, zanim wynaleźli miejsca do składowania, nie za daleko od linii i nie

za bardzo wystawione na obserwację nieprzyjaciela, zanim wreszcie dostali nosiciele. Bo ludzi było mało, a roboty wiele.

Albo problem zaopatrzenia w wodę. Zdawałoby się, że tutaj, gdzie źródła mamy dosyć, rzecz najłatwiejsza. Tymczasem... wody było dosyć, zato brakowało baniek. Teoretycznie miało być tak, że muł wnosił ileś tam baniek pełnych, a zabierał tyleż próżnych. Praktyka jednak nigdy nie pokrywa się z teorią. W rezultacie na górze było zatrzęsienie baniek na pół pustych, albo i zupełnie pustych i nikomu nie potrzebnych, na dole zaś kwatermistrz łamał sobie głowę w czym posłać wodę. (W sekrecie teraz powiedzieć można, że kwatermistrz — stary wyga pustyński — wzdychał w cichości do dobrych czasów libijskich, gdy problem wody był o tyle łatwiejszy...).

Przykłady takich i podobnych trudności można mnożyć w nieskończoność.

Nie czas jeszcze pisać o kłopotach i troskach kwatermistrza w obecnej kampanii pościgowej. Można tylko powie-

zieć, że nie są one wcale mniejsze, niż pod Monte Cassino. Wszystko jest płynne, ruchliwe. I źródła zaopatrzenia i oddziały zaopatrywane.

W regulaminie jest napisane, że nasza piechota ma być podwożona na samochodach dostarczonych z zewnątrz dywizji. Tymczasem ogólna sytuacja, wobec płynności frontu, nie pozwala na przydział samochodów z poza dywizji, bo wszędzie jest ich za mało. Pomimo tego, Niemiec maszeruje dziesiątki kilometrów pieszo, lub jedzie okraciem na skradzionej krowie, nasz żołnierz zaś jedzie mniej lub więcej wygodnie na samochodzie dzięki temu, że kierowca z „transportówki”, najważniejszego wojska kwatermistrzowskiego, pracuje ofiarnie dniem i nocą, by zdążyć zrobić kilka nawrotów i dostarczyć na czas zaopatrzenie i piechociarza zawieźć tam, gdzie potrzeba taktyczna mu być nakazuje.

Ciężko, bo ciężko, trudno, bo trudno. Kwatermistrze jednak cieszą się, że o nich cicho. Bo jeśli cicho, to znaczy, że wszystko gra. To najważniejsze. K.

Beczkowóz PIERWSZEJ LINII

W jednej z brygad karpackich, której dowódca lubi być na odległość głosową od nieprzyjaciela, istnieje beczkowóz okryty nieśmiertelną chwałą. Jest to beczkowóz pierwszej linii.

Gdyby mogły mówić jego zardzewiałe blachy, podziw wasz jeszcze by się zwielokrotniły. Beczkowóz wbił się na zawsze w pamięć żołnierzy naszego długodystansowego pościgu. W sytuacjach nieprzyjemnych, kiedy becząc pusto, pękają pociski moździerzowe, kiedy okłada ciężka niemiecka artyleria, w sytuacjach łaskotliwych, kiedy gwizdzą pociski Spandau'ów i wszystko przycupnęło po dziurach — beczkowóz pierwszej linii, jak jakiś dywizyjny duch Banka mija, charcząc zdartym silnikiem, czołowe carryery i pędzi naprzód, wrogowi na pohybel.

Zatrzymać go jest bardzo ciężko.

— Gdzie tak zasuwasz mongole wpierod? Sempre avanti ci się zachciewa.

— Po wodę jadę, ciągnąc grat pusty, pić chce...

— Frajerze ciężki, do Niemców posuwasz.

Ledwo obejrzałeś się — beczkowóz wyniuchął jakąś studnię i po chwili gumowy wąż pochlipując, ssie wodę do zbiornika.

Okryty chwałą beczkowóz jest obecnie daleko za Anconą. Z trudem odnajduję go w malowniczym ustroniu. Obok rozbiła biwak kawaleria. Umajone zielenią i kwiatami „pancerki”, przypominają raczej stogi siana. Nasz beczkowóz odpoczywa sobie skromnie „w cieniu kwitnących Staghound'ów”.

Dowódca i kierowca beczkowozu w jednej osobie, kapral Stanisław R., odpowiada na moje pytania z dystynkcją człowieka świadomego swej ważności.

— A jeździ się tam jakoś, — odpowiada na moje pochwały. — Kiedy trzeba wody, nie oglądam się, czy grzeją, czy nie. Żołnierz, wiadomo, pić musi.

— Beczkowóz panu dobrze służy?

— A, licho tam. Prawdę powiedzieć, to gruchot. Przedtem był to zwyczajny, półciężarowy Morris. Tłukł się po Wschodzie dobrych parę lat...

Kapral zaciął się, jakby jakieś słowa nie chciały mu przejść przez gardło. Aż

wreszcie wyrzucił z siebie, jak wyznanie najdotkliwszej hańby:

— Pestki w Qaiyarze uczyły się na nim jeździć.

Zapanowało głuche milczenie. Nie przychodziły mi na myśl żadne odpowiednie słowa pociechy.

— Niech pan doda, — ratuje sytuację, przysłuchujący się rozmowie, utalentowany grafik i felietonista, podchorąży Zygmunt O., — że beczkowóz pana kaprała odniósł parę dni temu ogromny sukces. Po raz pierwszy przejechał samodzielnie przez rzekę...

Zapytałem kaprała R. o bliższe szczegóły. Okazało się, że i ten temat jest drażliwy.

— A, to taki czort. Nie było wypadku, żeby nie utknął na przeprawie. Później, to już z wczesną ustawiał się za nim carrier i przepychał go nosem na drugi brzeg. Grat ma za nisko podwozie...

Nie ma róży bez kolców, nie ma pełnego szczęścia. Chcę was prosić, drodzy czytelnicy, abyście nie wyrabiali sobie, czytając te słowa, fałszywego mniemania o beczkowozie. Wiecie sami najlepiej, że beczkowóz i buldozer są ulubieńcami Dywizji Karpackiej. Każdy ma dla nich przyjazny uśmiech.

Znacznie mniejszą sympatią cieszy się carrier, szczególnie kiedy trzeba go mijać na wąskiej serpentynie, jadącego pod górę. Nie porównuję w ogóle carriera z taką zgagą kierowców, jak kolumna pelotek, gramolących się ślimaczym tempem i stojących pod każdą górą.

Beczkowóz, to zupełnie co innego.

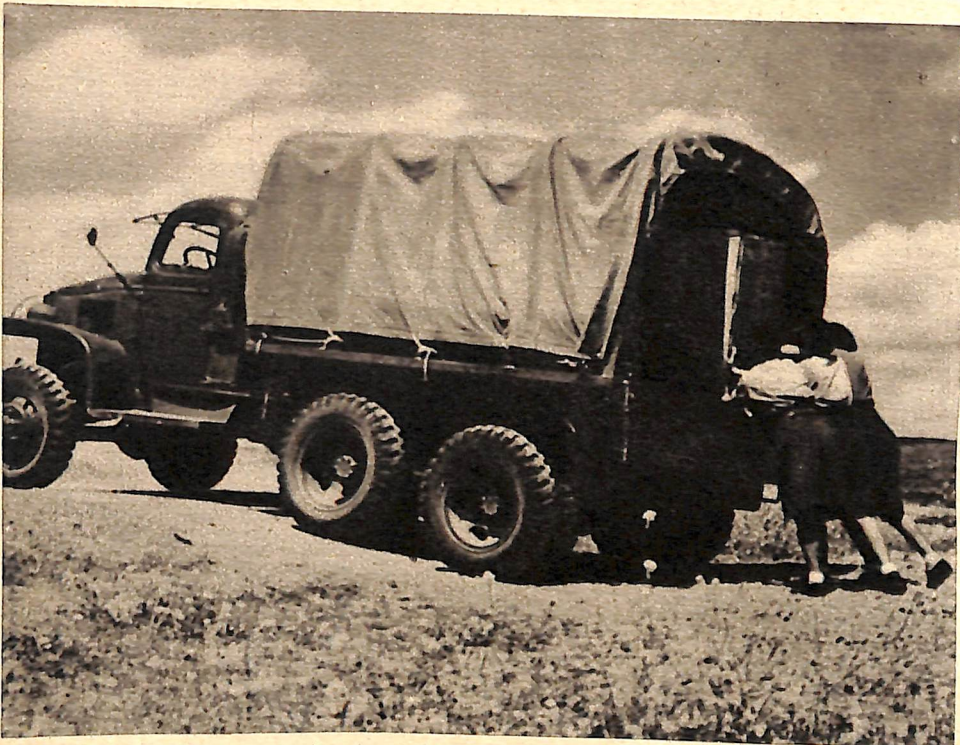
— Na brak sympatii narzekać nie mogę — przyznaje kapral. — Poważanie u kierowców człowiek posiada. Gruchota też lubię, chociaż mam z nim stale kłopot. Najgorzej jednak z samą harówką. Żołnierz bitwę skończył i obiad wina zadowolony, ty tylko wodę taszczy i taszczy. Rezultat taki, że każdy jakąś signorię wspomina, a ja nawet żadnej się nie przyjrzałem.

Kapral zamyślił się ponuro.

— Ale ma pan za to beczkowóz pierwszej linii.

— Jaki tam ze mnie beczkowóz, ja jestem beczkowóz.

Witold Domański



Odwet we Francji

Dywizja pancerna generała Maczka walczy we Francji



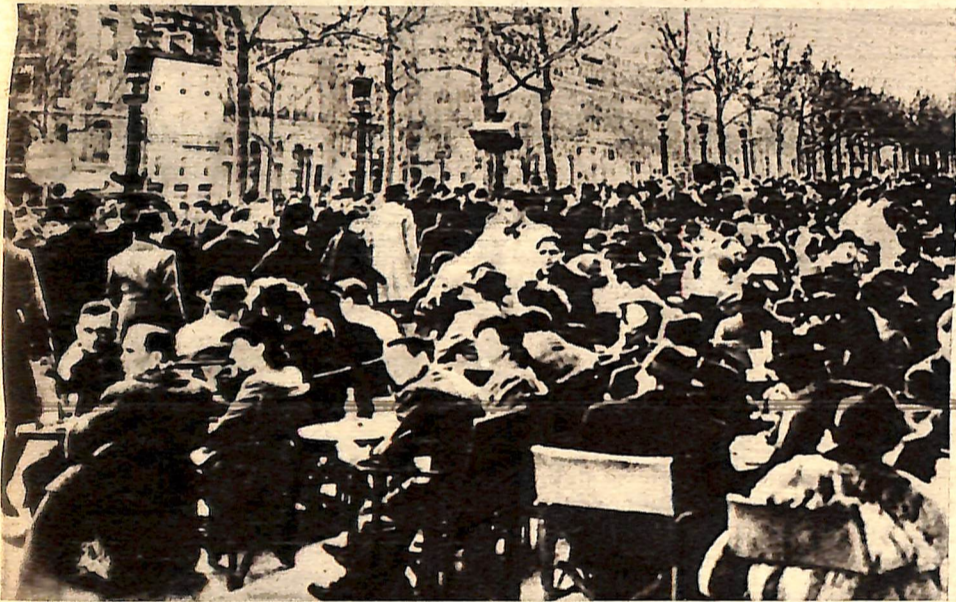
Zaledwie 6 czerwca rozpoczęło się pierwsze lądowanie wojsk sojuszników w Normandii, a już dzisiaj, w trzeciej dekadzie sierpnia uwolniony jest Paryż, wolna Marsylia, i armie sprzymierzone dotarły do Szwajcarii, znajdują się o 200 kilometrów od granic Rzeszy, biorą straszliwy odwet za klęskę roku 1940. Odwet ten przekracza swymi rozmiarami ówczesny „blitz” niemiecki. Żołnierz Hitlera stoi dziś na ziemiach Francji w obliczu przewagi nieprzyjaciela w ludziach i sprzęcie, przede wszystkim w lotnictwie, jakiej sam nigdy nie miał. W odwecie tym

rzetelny udział ma armia polska. Żołnierze polscy walczą zarówno na południu, jak i na północy Francji. Dywizja pancerna 1. Korpusu weszła do akcji pod dowództwem gen. Maczka na najtrudniejszym odcinku, pod Caen. Są to niemal wszystko ci sami żołnierze, którzy walczyli już we Francji w 1940 roku. Teraz biorąc pomstę za tamte dni, patrzą ku Warszawie, również stolicy europejskiej, która już 1 sierpnia porwała za broń i której także należy się — wolność, prawdziwa wolność. Była przecież niezłomna — pięć lat.

Generał amerykański Patton, który ub. jesieni odwiedził 2 Korpus Polski, dzisiaj dowodzi amerykańskimi siłami pancernymi we Francji. Na zdjęciu gen. Patton w towarzystwie Dowódcy 2 Korpusu Polskiego gen. Wł. Andersa



Pola Elizejskie w Paryżu



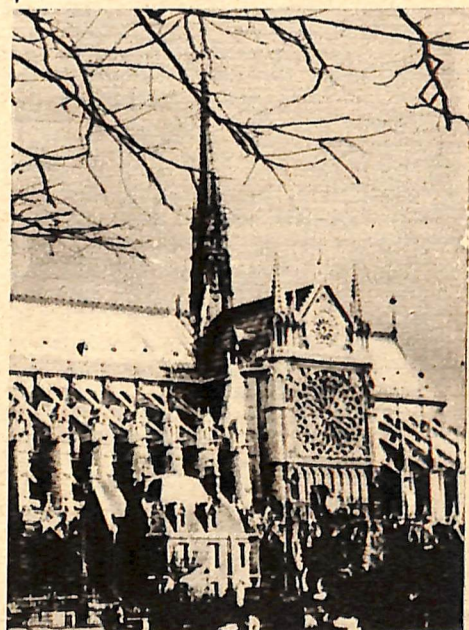
Łuk Triumfalny



← Paryż — widok na Sekwanę



↓ Katedra Notre Dame



WATYKAN i WOJNA

Mówi się często, zwłaszcza wśród obcych, że Polacy kierują się zbyt silnie uczuciami, że i polityka polska wykazuje również tę przewagę czynnika emocjonalnego nad rozumowym — ze szkodą dla jasności i trzeźwości, jaka powinna panować w ocenie faktów i sytuacji. Tkwi w tym dużo prawdy, na pewno. Ale również pewnym jest, że nie mogło być inaczej w narodzie, który w okresie przeszło stuletnim nadzieje niepodległościowe opierał na „kalkulacji” irracjonalnej, na uczuciach raczej, niż na zimnym rozsądku, na wierze w Boga, w sprawiedliwość Opatrzności, a nie instancji ziemskich. Nie mogło być inaczej podczas obecnej wojny, kiedy największe zniszczenia i prześladowania objęły najpierw Polskę i tylko Polskę, kiedy przez pierwszych siedem miesięcy tej wojny reszta świata przypatrywała się tępieniu narodu polskiego, kiedy i teraz, u schyłku katastrofy wojennej zanosi się także na katastrofę Polski, która znowu ma być ofiarą — gdy Warszawa po raz drugi walczy samotnie.

W takich warunkach jak może wyglądać jakaś kalkulacja liczbowa? I jakże nie ma przeważać, ciągle jeszcze, czynnik uczuciowy? Z tej siły naszych uczuć — patriotycznych i religijnych, z krzywdy i rozczarowania, rosnącego żywotowo po Wrześniu, płynął stosunek nasz do wielu czynników, także do Watykanu.

Wkraczając do Polski Niemcy zabrali się natychmiast do prześladowania Kościoła katolickiego. Największe rozmiary przybrało to na ziemiach włączonych do Rzeszy, gdzie ogromna większość ludności polskiej została pozbawiona wszelkiej pociechy religijnej. W kraju tak powszechnie i szczerze katolickim, jak Polska, polityka niemiecka wobec Kościoła, stała się jeszcze jednym potężnym źródłem nienawiści do okupanta.

Wielu Polaków, przede wszystkim na emigracji, spodziewało się stanowczej reakcji Ojca Świętego, liczyło na oficjalne potępienie Rzeszy, wreszcie i na to, że Watykan poprze zdecydowanie koalicję państw walczących z „osią”. Wiadomo — nie można tego tać — że brak takiego oficjalnego kroku wywoływał wśród nas duże rozgoryczenie, że zdarzały się w publicystyce polskiej wystąpienia przeciw polityce Watykanu. Wynikało to przede wszystkim z uczucia krzywdy, górującego nad rozważaniami politycznymi, a także z tego, że rozproszeni po różnych krajach podlegaliśmy wpływom prasy niemieckiej, często tendencyjnie lub błędnie informującej. Polityka Watykanu, w tej formie, w jakiej wyrażała się w oświadczeniach papieża, kardynała stanu i w artykułach oficjalnego organu „L'Osservatore Romano”, była bardzo często zniekształcana i fałszywie interpretowana przez prasę nie tylko faszystowską, włoską, ale również — sojuszniczą. Watykan był otoczony Rzymem, stolicą Włoch, państwa „osi” i do niedawna znajdował się w niesłychanie skomplikowanej, jedynej w swoim rodzaju sytuacji. Ogarnął jej nie podobna uczuciem narodowym, można tylko — zrozumieć, przyjmując punkt widzenia uniwersalny, stając na gruncie Kościoła jako społeczności, która zawiera w sobie również elementy organizacji świeckiej, państwowej, ale ponadto, i w pierwszym rzędzie, ma charakter duchowy i powszechny.

Kościół jest wieczny. Toteż polityka jego nie ulega presji czynnika czasu. Watykan obejmuje swą organizacją i wpływami około 348.500.000 katolików na całym świecie, co daje mu silną pozycję wobec państw świeckich, ale co również w wypadku wojny światowej utrudnia ogromnie jego stanowisko. Wtedy polityka Watykanu nie może być żadną sumą tych wszystkich katolików, podzielonych na różne narodowości i zapatrywania, nie może też być wyrazem jakiejś ich części. Dopuszczając, a nawet zalecając katolikowi i duchowieństwu lojalność wobec swego kraju, Watykan kieruje się przede wszystkim celami i potrzebami religii i dąży do — pokoju, jednego z głównych punktów misji Kościoła. Przystąpienie Włoch do wojny jeszcze bardziej skreślało możliwości Watykanu.

„Watykan jest za nami, czy przeciw nam?”. Pytanie to, bardzo uczuciowe, mając pewną wartość obiegową w ubiegłych latach wojennych jest charakterystyczne dla tego poglądu, który w zajętej przez Watykan postawie dopatrywał się albo wyczekującej „gry na dwie strony”, albo widział w niej stronniczość takiego czy innego zabarwienia. Trafnie też pytaniem tym rozpoczyna się ciekawa książka*) dziennikarza amerykańskiego, który pracował w Rzymie siedem lat, od 1935 do maja 1942 r. Camille M. Cianfarra, korespondent „New York Times”, zajmuje się szczegółowo polityką Waty-

kanu w tej wojnie i w okresie ją poprzedzającym, podaje mnóstwo faktów i informacji, dotyczących również polityki Mussoliniego i nastrojów ludności. Włochy zna dobrze, jeszcze z okresu swego dzieciństwa (ojciec jego był tam także korespondentem), toteż temat potraktowany jest w tej książce żywo, nie raz anegdotycznie i z pasją, a bez „budny” pretensjonalnych reporterów politycznych.

Cianfarra w swej kronice wydarzeń, którym tło i interpretację dają przytaczane gęsto dokumenty i rozmowy, nie sam odpowiada na pytanie „z kim jest Watykan w tej wojnie”; właściwej odpowiedzi udzielają inni: ludzie i fakty. Autor raczej tylko podkreśla i wyjaśnia pewne rzeczy, m.in. współczesną politykę watykańską, która nader elastyczna, podejmuje współpracę ze wszystkimi (bez względu na formę rządu) pod warunkiem przyjęcia misji apostołowskiej Kościoła i odrzucenia ideologii godzących w cele i potrzeby religii. Watykan unika zrywania stosunków dyplomatycznych z państwami świeckimi tak długo, dopóki istnieje słaba choćby możliwość obrony katolików i wpływania na władze. Stosunek, jaki Watykan zajął wobec szeregu państw — Hiszpanii, Niemiec i Włoch... — jest zgodny z taką linią polityczną. Przytoczmy za autorem książki przykłady postawy, jaką wobec tworzących się obozów, zwłaszcza wobec Trzeciej Rzeszy, zajmował Pius XI, a później Pius XII.

W niedzielę Palmową roku 1937 we wszystkich kościołach katolickich Rzeszy odczytane zostały encykliki Piusa XI o prześladowaniu religii w Niemczech. Zaskoczenie policji było całkowite. Protest rządu niemieckiego pozostał bez wyniku. Ambasador Niemiec przy Watykanie demonstracyjnie wyjechał z Rzymu, wrócił jednak po kilku miesiącach. Przyłączenie Austrii do Niemiec zastrzyło jeszcze stosunki Watykanu z Niemcami. Papież zdezautował kardynała austriackiego Immitzera, który imieniem episkopatu poparł hitlerowców, ufny w udzielone mu „gwarancje”. Wezwany do Rzymu Immitzter musiał podpisać oświadczenie, że stanowisko jego nie miało na celu poparcia akcji, sprzeciwiającej się wierze św., wolności i prawom Kościoła.

Demonstracją Piusa XI była jego postawa w czasie wizyty Hitlera w Rzymie w maju 1938. Papież zamknął Watykan i muzea dla członków misji niemieckiej, wyjechał na ten czas do letniej rezydencji Castel Gandolfo, gdzie w przemówieniu wyraził smutek z powodu wywieszenia w Rzymie znaku „krzyża, który nie jest Chrystusowym”. 21.X tegoż roku papież w związku z gwałtownymi demonstracjami antykatolickimi w Wiedniu wygłosił przemówienie, w którym zaatakował osobiście Hitlera, porównując go z Julianem Apostatą, prześladowcą chrześcijaństwa.

W chwili objęcia Stolicy Piotrowej przez Piusa XII, doświadczanego kardynała Pacellego, ucznia szkoły dyplomatycznej Watykanu, Europa była baryłką prochu. Marzec 1939! Główną więc troską papieża stało się utrzymanie pokoju. Widząc bezskuteczność ostrych potępień, począł unikać walk personalnych, ustępował w sprawach mniejszej wagi, niezłomnie podtrzymując zasadnicze. Wielokrotne próby ułożenia stosunków z Hitlerem, poprawy położenia katolików w Niemczech i krajach okupowanych nie dały żadnego wyniku. Każdy nowy podbój niemiecki pogarszał sytuację Kościoła, włączając dalsze miliony katolików w zasięg reżimu hitlerowskiego, który otwarcie wypowiedział walkę religii.

Papież, zachowując stosunki oficjalne, reagował jednak całkiem niedwuznacznie. Po zajęciu Czechosłowacji przez Niemcy i Albanii przez Włochy, potępił w kazaniu świętecznym łamanie pokoju i słowa. W początku maja 1939 roku zaczęła się akcja Piusa XII, dążąca do załagodzenia grożącego starcia polsko-niemieckiego. Dyplomatyczna ta akcja, nie dała wyników. Ostatnią propozycją papieża, 31 sierpnia, był apel o polityczne 15-dniowe zawieszenie broni i zwołanie konferencji pięciu państw bezpośrednio zainteresowanych. 1 września, rano, Pius XII

otrzymał wiadomość o wkroczeniu wojsk niemieckich do Polski. Ojciec św. udał się do kaplicy na modły. „Łzy płynęły z jego oczu, a ciałem wstrząsał szloch”...

Podział Polski między Niemcy i Rosję był dalszym pogorszeniem położenia Kościoła katolickiego, zwłaszcza, że Watykan z Sowietami nie utrzymuje stosunków dyplomatycznych. Wtedy, w trzeciej dekadzie września Niemcy proponowały pokój, Watykan popierający zawsze dążenia pokojowe przekazał sugestie niemieckie sojusznikom — bez wyniku.

30 września papież przyjmując kolonię polską w Rzymie, oświadczył, że Watykan będzie walczył o odbudowę Polski. Ponowił to drugi raz w swej pierwszej encyklice (27 października), w której poza otwartym już potępieniem totalizmów Niemiec i Rosji, godzących w religię, wypowiedział się za wskrzeszeniem państwa polskiego. W Rzeszy encyklika ta została skonfiskowana właśnie ze względu na fragment o Polsce. Encyklika święteczna, 24 grudnia 1939, przypisująca Hitlerowi odpowiedzialność za wybuch wojny i potępiająca napad rosyjski na Finlandię, mówiła także o Polsce: „...Okrucieństwa hitlerowskie w Polsce, zwłaszcza wobec uchodźców, starców, kobiet i dzieci, wołają o pomstę do nieba”. 28 stycznia 1940 r. rozgłoszono watykańską zaczęła publikację raportu Prymasa polskiego kardynała Hłonda na temat prześladowań w Polsce. Wywołało to wielkie wrażenie na całym świecie. W odpowiedzi na protest niemiecki Pius XII nakazał publikację wszystkich raportów w tej sprawie.

Niemal równocześnie z tym zastrzeżeniem kursu watykańskiego wobec Hitlera, nastąpiło nawiązanie stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, zerwanych w 1868 roku. Specjalny wysłannik prezydenta Roosevelta został przyjęty z wielkimi honorami. Od tego czasu Pius XII prowadzi politykę ścisłej współpracy ze Stanami Zjednoczonymi, podyktowaną względami na wolność, jaką Kościół cieszy się w Ameryce, i wpływami katolików amerykańskich oraz siłą ich organizacji.

Wizyta ministra Ribbentropa u Ojca św. 11 marca 1940 roku odbyła się w lodowatej atmosferze i nie dała żadnych wyników: ani polepszenia sytuacji religii katolickiej w Rzeszy, ani też Niemcom spodziewanych zysków politycznych, które jedynie usprawiedliwiłyby tę Canossę. Papież w ogóle nie przyjął ofiarowanego mu pośrednictwa w nowych dążeniach pokojowych Rzeszy. Autor omawianej tu książki podaje główne punkty proponowanego przez Hitlera pokoju: rozbrojenie ogólne, powrót do paktu czterech, strefy wpływów w Europie, krucjata przeciw Rosji. Wolność religii, emigracja żydów z Niemiec, status quo na Bałkanach. Niepodległa (!) Polska z ludnością około 10 milionów, z Gdynią jako... wolnym portem, granice polskie określiłyby plebiscyt. Nowe państwo złożone z Czechów, Słowaków i Węgrów, w którym Niemcy mieliby na 25 lat przywileje przemysłowe i komunikacyjne. Austria, włączona do Niemiec. Federacja dunajska: Niemcy, Włochy, Jugosławia, oraz trójnarodowościowe wymienione już państwo. Wolny dostęp do surowców, wolny przejazd przez Suez, nowy statut dla Włochów w Tunisie.

Rozgłoszono watykańską łącznie z „L'Osservatore Romano” wzmogły swe ataki na reżim hitlerowski. Działalność ich została zahamowana dopiero później, gdy Włochy przystąpiły do wojny i kiedy papież ze względów wewnętrzno-włoskich musiał ugiąć się przed żądaniem Mussoliniego podawania komunikatów tylko włoskich i w języku wyłącznie włoskim. 10 maja 1940 r. po napadzie niemieckim na Belgię i Holandię papież wysłał pisma do ich monarchów, udzielając im pełnego poparcia moralnego. 16 września rozgłoszono watykańską wystąpiła z ostrą krytyką proponowanego przez Niemcy „nowego ładu”.

Napad Hitlera na Rosję został przyjęty przychylnie przez Watykan, dawał bowiem Anglii i Ameryce czas na lepsze przygotowanie do pokonania Niemiec. Mussolini zażądał wtedy od Piusa XII, by poparł „krucjatę” przeciw Sowietom.

Odpowiedź papieża nie jest znana, znane są jednak dalsze jego wystąpienia, w których nigdy takiego poparcia nie udzielił. Przyczyna takiego stanowiska wydaje się jasna. Niewątpliwie nie w komunizm, który jest też wrogiem religii, a więc i Watykanu, lecz w hitleryzm, idącym od zwycięstwa do zwycięstwa, widział papież głównego, najbardziej wówczas niebezpiecznego wroga. Równocześnie właśnie w zwycięstwie mocarstw anglosaskich upatrywał największe nadzieje polepszenia sytuacji Kościoła, nie mógł więc i tego obozu potępić. Zresztą z podobną pretensją do papieża wystąpiła i druga strona: według dziennikarza amerykańskiego prezydent Roosevelt był stale informowany. Zasadzie bezstronności Watykan pozostał wierny również po kapitulacji Włoch, nie mieszając się nadal do ich wewnętrznych stosunków politycznych.

Stosunki między Watykanem a rządem Mussoliniego, opierające się na Traktacie Laterańskim z 1929 roku, przechodziły różne zmiany, przy czym napięcie rosło tym więcej, im ściślej następowała współpraca Włoch z Niemcami. Do polepszenia dochodziło zawsze wtedy, kiedy była wyraźna zbieżność celów: obawa przed komunizmem (okres wojny hiszpańskiej, fińsko-rosyjskiej), oraz utrzymanie pokoju, np. przed Monachium. Konflikt papieża z Mussolinim obracał się zawsze w granicach mniejszych, wyznaczonych przez niezwykle silną tradycję katolicką narodu włoskiego.

Kardynał Pacelli wybrany został papieżem w chwili decydującej. Był przygotowany do rządów Piotrowych na lata wojny światowej, jak może żaden papież. Od 1917 do 1929 roku był nuncjuszem w Niemczech, wielokrotnie w specjalnych misjach wyjeżdżał do innych krajów — do Francji, Anglii, Węgier, Argentyny i Stanów Zjednoczonych, gdzie nawiązał stosunki szczególnie przyjazne z prezydentem Rooseveltem. Okres wojenny wzbogacił jego doświadczenie i dał jeszcze więcej znaczenia temu państwu, którego właściwa siła moralna rosła równocześnie z osłabieniem jego siły świeckiej, materialnej. Po uwolnieniu Rzymu, polityka Watykanu wykazuje niezwykłe ożywienie. Kończy się wojna, wyraźne pytanie — „co dalej?”.

Pius XII, który za dewizę swego pontyfikatu obrał sobie hasło „Opus Justitiae Pax” (pokój dziełem sprawiedliwości), zechce napewno wziąć udział w ustanawianiu pokoju, o którym już w encyklice z grudnia 1939 roku powiedział, że musi dać każdemu narodowi, wielkiemu czy małemu, prawo do niepodległości politycznej i ekonomicznej. Niewątpliwie pomoc religii w dziele pokojowym jest niezbędna. Również niewątpliwie udział Watykanu w budowaniu pokoju spotka się z oporem niektórych państw, przede wszystkim Rosji. Jest bowiem — i nie może być inaczej — stały konflikt państw totalnych z instytucją tak powszechną, jak Kościół katolicki.

Nie wiemy, jakie w Watykanie prowadzone są rozmowy na temat organizacji pokojowej. Wiemy natomiast, że szczególnie uroczysta audyencja udzielona przez Piusa XII delegacji 2 Korpusu Polskiego i wypowiedziane wtedy słowa o słusznym prawach Polski, właśnie w obecnej ciężkiej dla nas sytuacji politycznej, ma swoją znamienitą wymowę polityczną, tak samo i stanowcze sprostowanie „L'Osservatore Romano” na temat rokowań Watykanu z Sowietami, jakie właśnie teraz miały być prowadzone.

Cianfarra, pisząc omówioną tu książkę, twierdzi, że zwycięska Rosja przejmie po Niemcach rolę największego w Europie mocarstwa i stanie się automatycznie najgroźniejszym nieprzyjacielem Kościoła katolickiego i innych wyznań religijnych. Dla równowagi — tak pisze dziennikarz amerykański — zarówno Lody i Waszyngton, jak i Watykan muszą odbudować niepodległość państw środkowo-wschodniej Europy i dość do jakiegos układu z Rosją, nie akceptując jednak jej hegemonii europejskiej. Im więcej grozi trzecią wojną.

„Opus Justitiae Pax”. Trwały pokój może być tylko dziełem sprawiedliwości.

TADEUSZ PNIEWSKI

*) Camille M. Cianfarra: „Le Vatican et la guerre” — Montreal 1944.



POLONEZ W VILLA DITTAJUTI

Uśmiechnęło się do nas szczęście. Krótkie, nagłe, swoiste — żołnierskie. Nieoczekiwane było i tym samym bardziej dogłębne. Aspekt rzeczy pikantnej leży zawsze w niespodziance. Dla nas była ona zupełna, była efemeryda, podobną do krótkiego a jasnego błysku rakiety, strzelonej w pomroku bezkسیężycowej nocy.

Walka o Osimo dobiegała ku końcowi. O północy Niemcy, po serdecznym ogniu pożegnalnym, wycofali się z miasta i jego pobliża. Gdy brzask budzącego się dnia zajrzał do ulic obumarłego, okaleczonego miasta — pierwsze polskie patrole kroczyły po zakurzonej drodze. Szły na północ ociężałym, choć pewnym krokiem.

Było to po „nieprzespanej nocy znojennej”. Pierwsze bowiem domy przedmieścia znalazły się w naszych rękach już przy zapadnięciu zmroku. Wraże oko niemieckiego obserwatora artyleryjskiego goszczącego w jednym z wyższych domów, nie omieszkało nas zauważyć. To też nieprzyjacielska artyleria zaciekle wiwatowała na naszą честь. Na miasto i okalającą je szosę sypały się „grubsze kawałki”, drobiące się na mniejsze, furczące i wygrażające. Gadały bez przerwy szybko-komowne Spandau'y, gadały z furją, jakby nas chciały nastraszyć koszmarem germańskich mitów. Posuwanie się do przodu było więc bardzo niebezpieczne, czekaliśmy rana. Mieliśmy kilku rannych, których carryery ewakuowały do tyłu.

O świcie Niemcy uważali za stosowne zerwać z nami wszelkie kontakty ogniowe, odwrócić się do nas krzyżem i... ruszyć do przodu.

Wszystko zatem i poza tym odbyło się ściśle według szablonu, przyjętego przez Niemców w walkach przydiatrycznych. Normalnie. Żadnego oryginalnego chwytu taktycznego nasi przeciwnicy nie zdołali wymyślić. Uchodzili cichaczem, tylko że dla odmiany nasza artyleria podjęła przerwany koncert i gwoli „pokrzepienia serc” i dodania sił uciekającym Niemcom rzęta przeciągle i krzepko. Tam i sam snuły się chmurki dymu, palił się stóg, waliła się chałupa. Kopała nieba, nakrywając rozległe widowisko, dekoracyjnie przyozdobiona obłokami, wyróżniała się doskonałą akustyką. Detonacje rozprzeszczerzały się żywo, wymieniały się na bilon pomniejszych dźwięków. Nalotu „katolickich” samolotów („te z krzyżami, panie!”) dnia tego nie było.

O świcie wyruszyliśmy — patrol w sile plutonu pod dowództwem ppor. F. — zbadać nowe m. p. nieprzyjaciela. Gęsiego, w szyku bojowym, odpowiednio ubezpieczeni, maszerowaliśmy po budzącym się z niespokojnego snu mieście. Gdziegdzie, w bramie lub oknie, uka-

zywała się strwożona twarz jakiegoś ciekawego mieszkańca: — „Kto zacz?”. Odmienny strój i kształt hełmów upewnił osimian, że to bądź co bądź nie „tedeschi”. Po chwili twarzy obserwujących nas ukazało się więcej i...

Ulice zaroily się tłumem. Oklaski, okrzyki, kwiaty, wino. Niektórzy zagadali do nas językiem przypominającym angielski. Brali nas, widać, za „gubbajów”. Wyjaśniliśmy z miejsca nieporozumienie, czym spotęgowaliśmy ich niekłamana radość. Otoczyli nas rojem, ściskali, całowali. Dziewczęta ozdobiły nam kwiatami naszą pożyteczną, choć wcale nie malowniczą broń. Co odważniejsza rzuciła się na szyję któremuś z wojaków.

Ja osobiście — nie chwając się — miałem największe powodzenie: każda Włoszka mi się podobała... Nie całowała mnie wprawdzie żadna, ale to nie uważała przecież moim walorom towarzyskim, ani nie zmieniała postaci rzeczy. Z Brenem na ramieniu, ze zwisającymi ładownicami, zarośnięty, z przekrwionymi oczyma i rozwichrzoną czupryną (hełm z powodu gorąca trzymałem w garści) wyglądałem dość ponętnie. Jakaś leciwa kobiecina zaprosiła mnie do mieszkania. Ze względów dyscyplinarnych — odmówiłem. Odegrałem rolę Józefa, rzecz jasna, pod przymusem. A no, co robić? — patrol! Wojna — nie radość, a raport karny — też nie wesele.

Za to popiłem sobie ociupinkę na ulicy. Mam strasznie miękkie serce — nie mogę odmówić, gdy proszą. Znany jestem z tego w całej kompanii. Na przykład, gdy na ulicy napastują mnie o jałmużnę, nigdy nie odmawiam: żebrak tak długo stoi, aż sprzykrzy mu się i sam pójdzie... No, a cóż dopiero, gdy jakaś nadobna Rachel z dzbanem bianco lub rosso godzi w moją wstrzeźliwość! Wtedy o odmowie szkoda gadać! Dla lepszego zrozumienia rzeczy muszę dodać, że mam wrodzoną artystyczną inklinację do szlachetnych trunków.

— Uważaj, Siejko, nie zalej sobie pały! — przestrzegał mnie porucznik. Dał tym jaskrawy dowód kompletnej ignorancji co do odporności tej mojej „pały”. Trudno, aby kilka kieliszków kolorowego płynu, nawet z odpowiedzialnym odsetkiem mocy, wpłynęło na mnie pacyfistycznie. Zaprawę na tym polu mam kolosalną.

Zbadaliśmy miasto. Szwaba — ani krztyle! Miejscami porzucona broń, amunicja, rozbite wozy, leje, wyrwy — spadek po „obrońcach Europy”. Za miastem — szosa zanurzona w zieleni. Słońce, wspinające się wolno i wytrwale po drabinie niebios zza chmur, jak z kolorowego aparatu projekcyjnego, rzucało na nas snopy promieni. Kolorowy film

przestrzeni upajał wzrok, porywał, kuśił, uwodził.

Niedaleko, za Borgo S. Giacomo, z łagodnie spadającego zbocza Monte S. Pietro, spośród strzelistych cyprysów wzywały ku nam blaski kwadratowych baszt willi, czy też zamku Dittajuti. Uroczy, odosobniony zakątek podzielał magicznie na nasze wyostrzone winem zmysły estetyczne. Nie wiem dlaczego, ale prawie wszyscy uczestnicy patrolu twierdzili nagle, że tam są Niemcy, chociaż byli przekonani, że tam czeka nas jakaś miła, bynajmniej nie bojowa niespodzianka. Przypisuję tę intuicję działaniu głębszego kieliszka.

Zadanie nasze było zasadniczo skończone. Mimo to ppor. F. dał się nakłonić do tej marszowej dygresji. „Nie wypada nam wracać z niczym”, argumentowaliśmy. Ruszyliśmy raźnie. Pół godziny pieliśmy się do góry. Rzecz dziwna nikt nie czuł z nas zmęczenia. Żołnierzowi, idącemu ochotniczo, zawsze siły dopisują. Im bliżej zamku — rozleglejsza, wspanialsza była panorama okolicy.

Na nasz widok triumfalnie, na ścieżaj otworzyła się brama. Przywitał nas zarządca majątku hrabiego X., do którego należy ta nieruchomość — rozmowny, inteligentny Włoch. Po chwili z piwnic powychodziły ukryte niewiasty. Znowu wiwatowania, radość, okrzyki. Zaproszono nas do sali recepcyjnej. Szybko i gładko stoły i stoliki zastawione zostały jadłem i napojami. Śniadanie — palce lizać! Długo nas nakłaniać do jedzenia nie trzeba było, szczególnie, że towarzystwo było dobrane. W mig opróżniły się półmiski i gąsiorzy. Gospodarze dostarczali świeżych gąsiorów, dopiero co wykopanych z piwnic. Wino było tak dobre i w takiej go było ilości, że szczerze żałowałem, że nie można pić na zapas: byłbym pijany do śmierci. Dajcie spokój, taka okazja!

Okazaliśmy się godnymi reprezentantami przyjaźni polsko-włoskiej. Nastrój był podniosły i zgoła — braterski. Nadmienię przy tym, że płeć słaba nie odstępcząca surowością obyczajów. To uwarunkowało szybką i serdeczną przyjaźń. Nie obyło się, rzecz prosta, bez zalotnych spojrzeń, zaklęć dożgonnej miłości, a nawet kradzionych całusów, bo i w dziedzinie nagłej i niespodziewanej miłości mieliśmy kilku wytrawnych speców.

Znalazła się harmonia i pianino. Dźwięki muzyki porwały nas w tan. Tańczyliśmy tylko narodowe tańce. Kolega Jaworski i ja popisaliśmy się duetem jakiejś choreograficznej improwizacji, trudnej do nazwania. Partner sięgał mnie do pasa, para była więc z nas, jak ulał.

Potem — tańczymy poloneza. Nogi nie bardzo słuchają, płaczą się, uginają, ale, jak wiadomo — gibkość członków dodaje baletowej płynności zbiorowym tańcom. Nasze tancerki wirują przepysznie w kręgu przysięgłych dworaków. Krótkie, przewiewne sukienki nadymają się baloniasto. Czar pięknych nóg, obnażonych po uda, działa upojnie, jak stare wino.

Prócz obserwatorów często zmieniających, pełniących służbę w baszcie, wszyscy pogrążeni w rodzinnej atmosferze. Uleciała precz z mora wojny. Śpiewem i muzyką rozbrzmiewają stare mury szanownego zamczyska. I pomyśleć, że kilka godzin temu byli tu Niemcy, wyproszeni przez nagłą ogień naszej artylerii, że obecnie znajdują się gdzieś bardzo blisko.

Zarządca oprowadził mnie po zamku. Ponieważ znajdowałem się w stanie szczególnie wyjątkowym, niewiele zrozumiałem z jego tłumaczeń. W sali muzealnej obejrzałem broń gwardii któregoś z praszczurów obecnego właściciela zamku, gwardii, która stacjonowała w Castelfidardo. Zbiór starych karabinów z lontowym odpałem, takich, co to, aby wystrzelić w sobotę, należało we dwa tęgi chłopa ładować i nabijać we środę. Bagnyta mało mniejsze od naszych ułaskich lanc. Jakieś dwururki myśliwskie, trofea, herby, odznaczenia.

Z prawdziwym żalem opuściliśmy gościnniego zamek. Każdy z nas przyrzekł solennie, że przyjdzie tu z wizytą przy pierwszej sposobności. Niejednemu w pamięć wdobyło się piękne liczko czarnobrewy, niejeden oddał serce w przemiły jassy. Myślę, że najdotkliwszą klęską wojny, są złamane serca i bezceremonialne niweczenie piękna Przygody.

Wróciliśmy tą samą drogą. Po raz wtóry ludność miasta witała swoich oswobodzicieli z niesłabnącym entuzjazmem.

W dowództwie baonu, dokąd wróciliśmy stała się rzecz dziwna. Dowódca baonu kpt dypl. B., któremu ppor. F. zameldował sytuację, niedowierząco pokręcił głową. Okazało się, że patrol następny, który wyszedł później, a wrócił wcześniej od nas, natknął się na nieprzyjaciela właśnie w rejonie zamku Dittajuti. Niemcy na nowo zajęli utraconą pozycję — świetny punkt obserwacyjny.

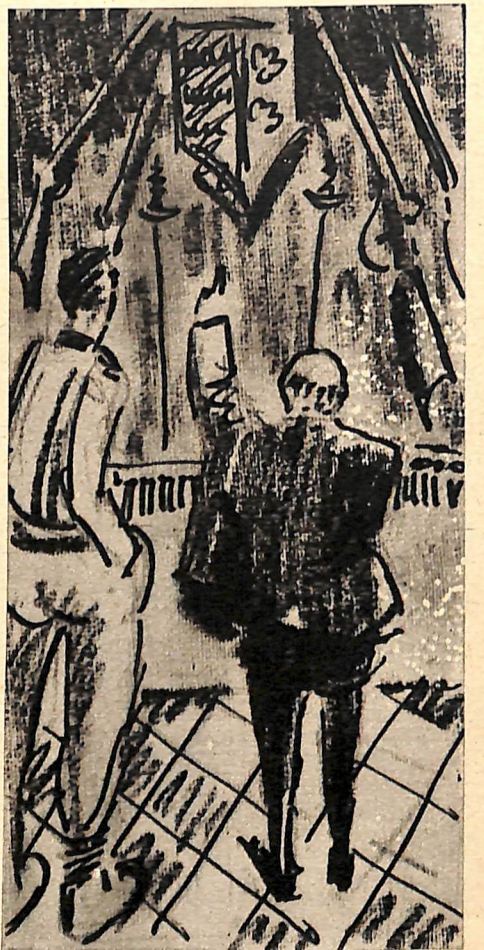
Wykurzyli ich dopiero dwa dni później czołgi. Niemcy bronili się długo i rozpaczliwie. Ażby zmusić ich do odwrotu, czołgiści przemówili do nich rzeczowymi, przeciwpancernymi argumentami. To poskutkowało!

My poszliśmy na inny odcinek. W odmęcie walki zapomnieliśmy czasowo o zamku. Dopiero po zajęciu Ancony, strzelec Zbrozek wybrał się do swojej bogdanki, której skradł niezapomnianego całusa.

Szedł pieszo z Osimo, pełen najlepszych nadziei. Parł szybko pod górę, gnany tęsknotą i zrozumiałym zniecierpliwieniem. Gdy podszedł blisko, stanął jak wryty.

Z zamku pozostała tylko kupa gruzów, dosłownie — kamień na kamieniu. Ani żywej duszy! Nic — tylko ruiny pięknego zabytku i kikuty strzelistych, sięgających niegdyś lazuru nieba, cyprysów.

JAN KIELEWICZ



Siostra chorych i rannych



← Uśmiech i groźba: będzie zastrzyki



W namiocie szpitalnym

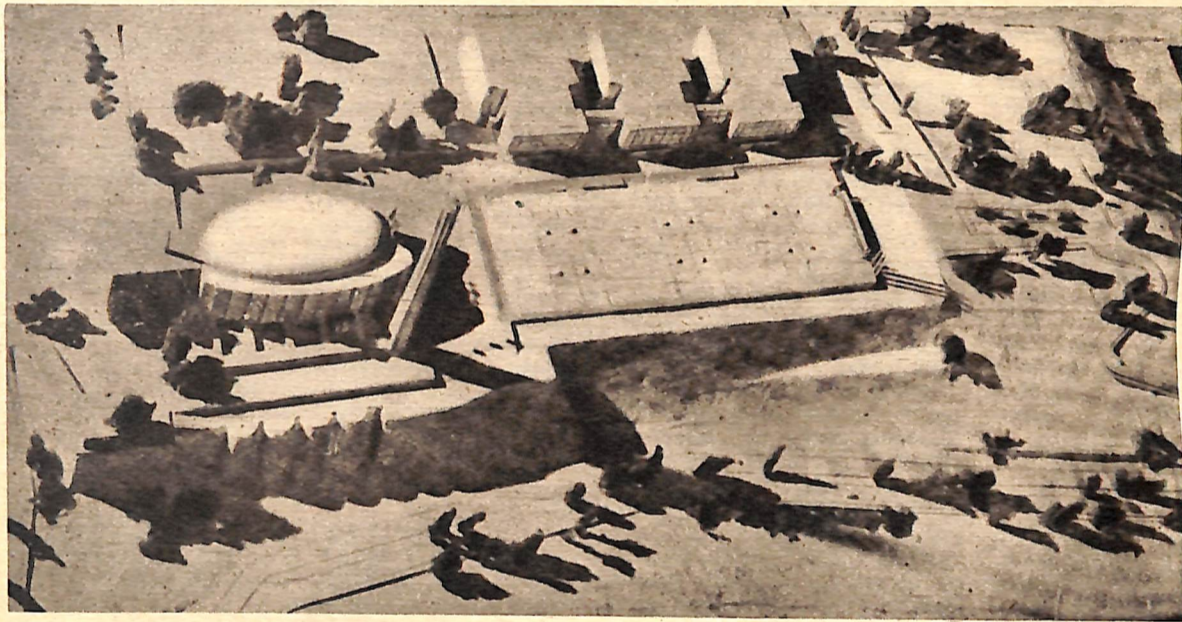
Nie rozstaje się z papierosem...



Szpital wojenny żyje swym własnym życiem — chorobą i cierpieniem, walką ze śmiercią. Podział na oddziały nie dotyczy cierpienia, które jest niepodzielne. W tym dziwnie izolowanym kręgu szpitalnym szczególne miejsce zajmuje siostra. Polska siostra sanitarna jest wszędzie, jest ciągle z chorymi. Udziela im nie tylko pomocy sanitarnej, ale i uśmiechu serdecznego, którego w tym miejscu nie jest nigdy za dużo. Kiedy mówi „moi

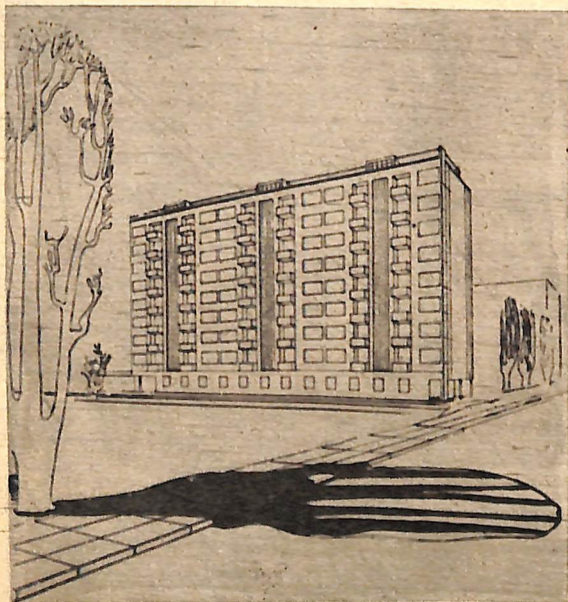
chłopcy”, to tkwi w tych słowach uczucie naprawdę rodzinne, to właśnie, czego tak brak dzisiaj Polakom, a z czym trudno spotkać się w szpitalach nie polskich. Z uznaniem, ze szczerą wdzięcznością mówią o siostrze ranni i chorzy x-go szpitala wojennego. A co mówią siostry? Mimo zmęczenia nie narzekają, lubią swój zawód, lubią swych „utrapięćców”, ciesząc się szczerze z każdego polepszenia i wyleczenia. „Podobno” — tak sły-

szę — najczęściej kłopotu sprawiają pacjentki. Są bardziej nerwowe i mniej posłuszne. Jedna w nocy, właśnie w nocy, pisze wiersze, druga nie rozstaje się z papierosem, choć palić jej nie wolno, inna, z nóżką w gipsie, ma znów tanceczne zachcianki... Ale nie jest to takie groźne, zwłaszcza, jeśli te Urszule, Czesie i Krysie są takie miłe. Siostra jest dobrym duchem szpitala, jest naprawdę siostrą wszystkich chorych i rannych.



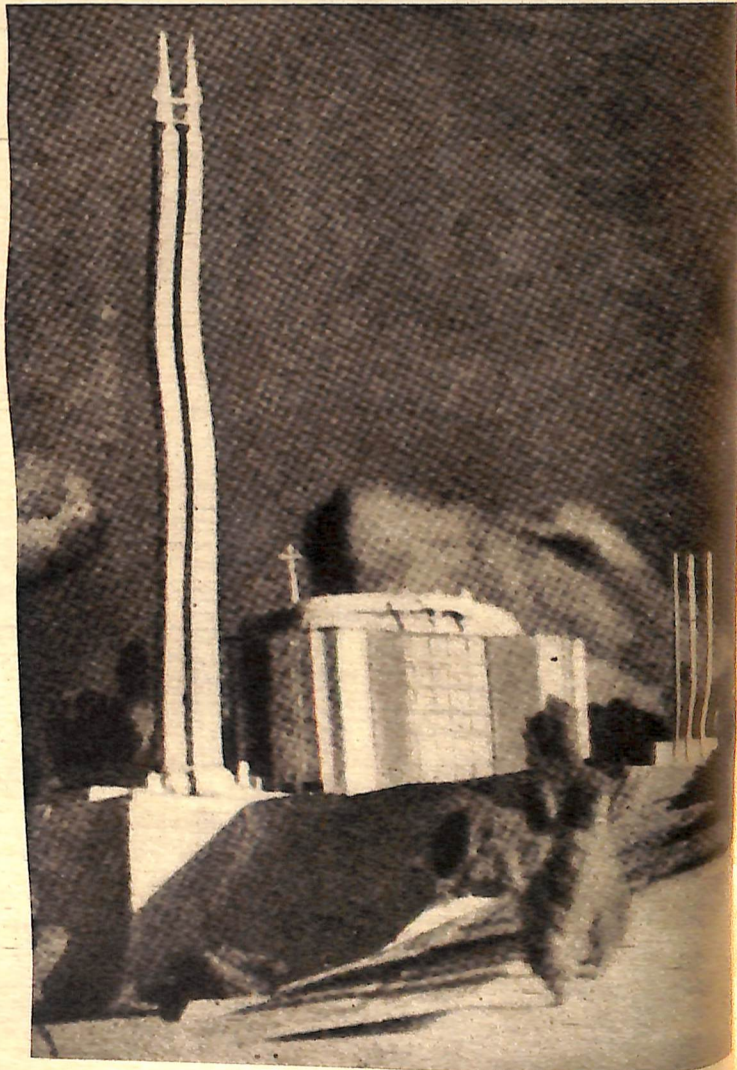
Projekty świątyni-symbolu. Z. Borysowicz i L. Pietka

Domy robotnicze jakie stanąć mają w Warszawie. Projektował M. Wesołowski



POLSCY ARCHITEKCI W LIVERPOOL'U

Poważne pismo angielskie „The Architects' Journal” zamieściło w sierpniowym zeszycie interesujący artykuł o polskiej szkole architektury przy uniwersytecie w Liverpool'u. Artykuł zilustrowany jest szeregiem fotografii prac studentów polskich. Autor w charakterystyce młodych polskich architektów podkreśla, jak w swoisty sposób łączą oni współczesność z tradycją. Ci młodzi stanowią jakby dalsze ogniwo wielkich budowniczych, którzy stworzyli w Polsce świetne budowle w ubiegłych stuleciach. Prace młodych naszych architektów są interesujące również z uwagi na temat. Angielskie pismo fachowe zamieszcza fotografie makiet i rysunków technicznych projektu świątyni-symbolu, która ma stanąć Środkowo-Wschodniej. Autorami tych prac są Z. Borysowicz i L. Pietka. Obok zamieszczamy reprodukcje projektów wymienionych autorów.



Str. 4 i 5: fot. Chruściel, F. Malinowski
Str. 6 i 7: fot. U. S. Office of War Information
Str. 10: fot. APW
Str. 11: fot. British Ministry of Information, Wojsk. Sekcja Film.-Fot.
Str. 15: fot. T. Szumański

Układ graficzny:
JERZY MŁODNICKI

Bojowe epizody

3



1. Tędy przeszedł polski czołg. Ten blaszany czerep był kiedyś hełmem na głowie niemieckiego „nadczołwieka”.

2. Trudno o precyzyjniejszą robotę. Niemieckie działo przeciwpancerne, po walce z polskimi czołgami nadaje się jedynie do muzeum, jako interesujący eksponat i świadectwo skuteczności ognia naszych pancerniaków.

3. Dwaj nierozłączni przyjaciele, ułani Krechowiecy, plutonowi C. i W., obaj motocykliści, w czasie bitwy pod Anconą otrzymali rozkaz udania się do jednego ze szwadronów czołgów na wysuniętym odcinku. Dodali gazu i tyłko zakurzyło się za nimi. Jadą, jadą, a tu szwadronu nie widać. Nagle, za wirażem zamiast szwadronu wyłania się armata, ale z niemiecką obsługą. Nie było czasu do namysłu. Obaj ułani zeskoczyli z motorów, rewolwery w garść i jazda na Niemców: „Haende hoch!”, tyle po niemiecku umieli. Skutek był nadzwyczajny. Niemcy skamieniali. Byli uzbrojeni, za sobą mieli w najbliższym sąsiedztwie własne linie, ale przed sobą mieli Polaków. Ten ostatni moment zadecydował. Poddali się natychmiast razem ze swoją armatą. W triumfie — choć nie bez obawy, aby po drodze nie spotkać większego oddziału niemieckiego — nasi ułani przyprowadzili do dowódcy pułku zdobytą armatę i przerażonych szwabów, meldując, że szwadron zmienił swoje m. p. Na zdjęciu dziarscy plutonowi C. i W. ze zdobytą przez nich niemiecką armatą.

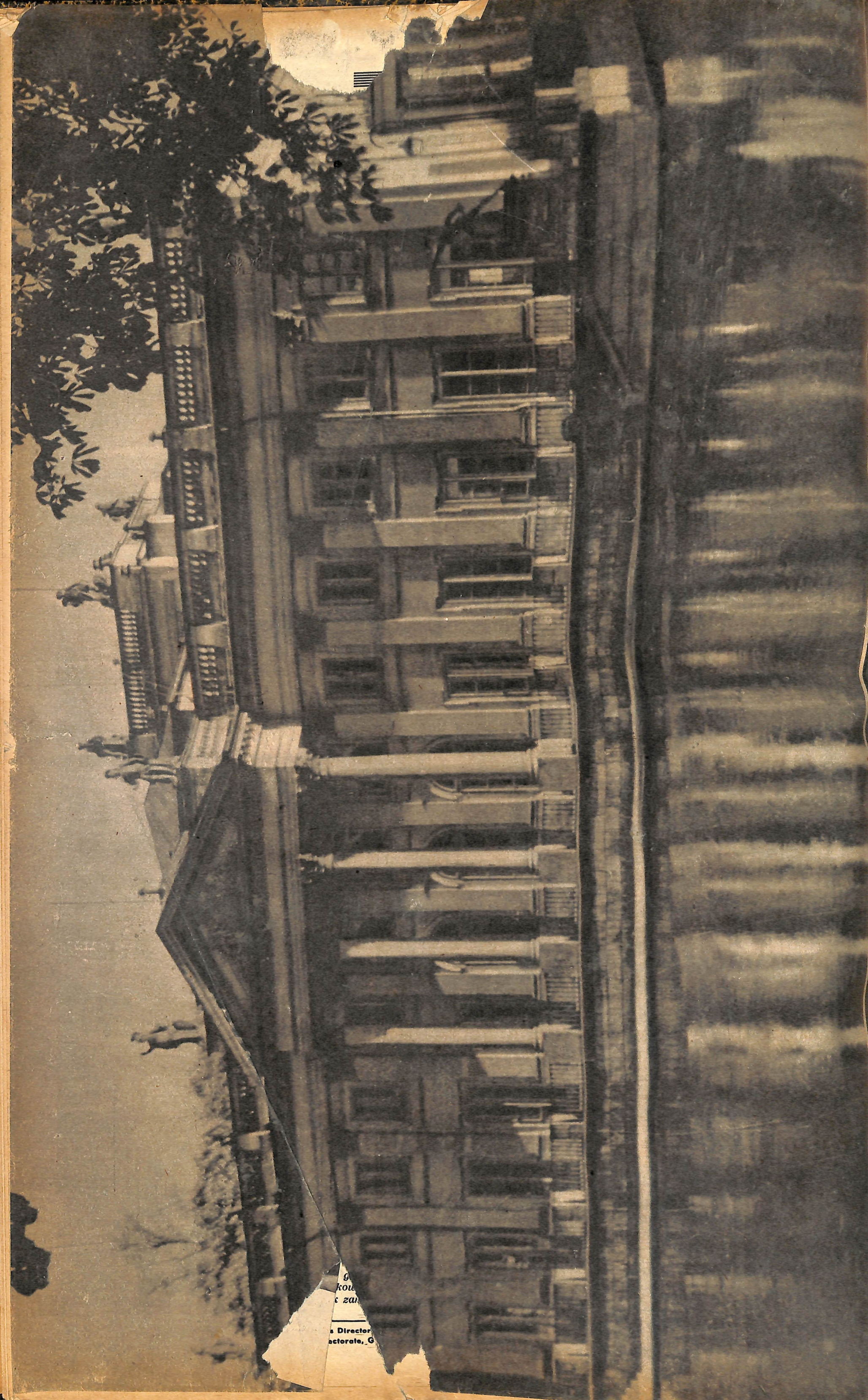
4. W pamiętnym Wrześniu 1939 roku, nasi ułani szarżowali często na czołgi niemieckie. Pamiętamy dobrze kpiny prasy niemieckiej i fotografie zdobytych polskich szabel i ostróg. Pod Anconą jeden z naszych pancernych oddziałów zdobył niemiecką baterię o konnym i... wolim zaprzęgu. Wymownym upominkiem pancernych ułanów dla ich dowódcy były zdobyte niemieckie ostrogi.



44

19

w Anglii



g
kou
c zal
Director
ctorate, G